

DROGA

MIESIĘCZNIK POŚWIĘCONY SPRAWIE ŻYCIA POLSKIEGO

TREŚĆ NUMERU:

Adam Skwarczyński: O PRACY MORALNEJ NARODU.
SPRAWA OBRONY PAŃSTWA (ANKIETA):

V. PUŁK. ZAJĄC — O ORGANIZACJI I MOBILIZACJI
ARMII.

VI. PUŁK. KUTRZEBA — O STRATEGICZNYM PRZY-
GETOWANIU OBRONY.

Michał Sokółnicki: O SPÓTKANIU PIŁSUDSKIEGO Z WY-
SPIAŃSKIM.

Stefan Pomarański: PROGRAM POLITYCZNY ROMUAL-
DA TRAUGUTTA.

Gabriela Kosińska: W SPRAWIE ARTYKUŁU „RELIGJA
A NOWA POLSKA”.

Okt Fellow: DROGI ROZWOJU POLSKIEJ POLITYKI ZA-
GRANICZNEJ.

F. Bierkiewicz: O TRUDNOŚCIACH RZECZY PROSTYCH.

Br. St.: W ODPOWIEDZI POSŁOWI NIEDZIAŁKOW-
SKIEMU—I DAŁSZYCH KILKA UWAG O P.P.S.

Tomasz Gruda: POBRATYMSTWO, — UWAGI NA TLE
SPORU POLSKO-CZEŚKIEGO (LIST
Z PRAGI).

St. Guliński: LIST Z WIELKOPOLSKI.

PRZEGŁĄD

(T. H.): *Przegląd Polityczny.*

Książki:

(K. L. Krz.): *Przeciwtarce bez celu.*

(K. L. Krz.): *Żywoł łazika z Tormesu.*

Książki i Pisma.

Od Administracji.

xIV-1
164

Kolekcja
Emilia Kornasia

ROK I. (II.) № 5. (11).

DROGA

MIESIĘCZNIK
POŚWIĘCONY SPRAWIE
ŻYCIA POLSKIEGO

WARSZAWA, SIERPIEŃ 1923



ADAM SKWARCZYŃSKI
O PRACY MORALNEJ NARODU

Na Zjeździe Legionistów we Lwowie Józef Piłsudski, gdy rozprawiano nad koniecznością walki z oszczerstwem, skierowanym przeciw ludziom, których stanowisko i praca państwowa powinny być otoczone autorytetem — postawił zasadniczą tezę. Istotą tej walki — mówił — winno być „podniesienie duszy ludzkiej na wysoki poziom moralny“. W swem przemówieniu w „sali malinowej“ dnia 3 lipca, analizując historję oddania mu władzy najwyższej w państwie — nie z musu lub jakiegokolwiek konieczności prawnej, lecz dzięki tylko „nieprzymuszonemu zjawisku, dokonanemu *bez żadnego gwałtu* i bez żadnego przewrotu“, tłumaczy je faktem „*moralnej pracy narodu*“, będącej „jakby zaprzeczeniem tej smutnej, dalekiej tradycji i tej smutnej sławy, że... Polska nierządem stoi, Polska to prywata,... Polska to anarchia“. A już rok przeszło wcześniej w przemówieniu do członków zjazdu P. O. W. podkreślał wartość organizacji owej, polegającą na tym, że ona pierwsza od czasu rządu narodowego z 63 r. potrafiła obudzić w narodzie pewne objawy *posłuchu dla władzy, opartej na podstawach moralnych*, choć nie posiadała środków przymusu fizycznego w swym ręku.

Polska dzisiejsza nie wytworzyła jeszcze jasnej samowiedzy swego życia publicznego, nie wypracowała jeszcze poczucia autorytetu swych urządzeń państwowych, nie zrozumiała ich majestatu. Myśli te więc wywołać w niej winny głębokie zastanowienie. Zastanowienie tym większe, że nie są one absolutną nowością. Wypowiadał je już Mickiewicz, gdy w pismach swych ideowo-politycznych podkreślał ową wyższą, bo *moralną dyscyplinę*, jaka tkwiła w staropolskich instytu-

cjach państwowych — i opiewał ją w „Panu Tadeuszu“, mówiąc słowami Wojskiego:

„... Jak wśród naszej burzliwej szlachty samowładnej,
Zbrojnej, nie trzeba było policji żadnej:
Dopóki wiara kwitła szanowano prawa,
Była wolność z porządkiem i z dostatkiem sława!
W innych krajach, jak słyszę, trzyma urząd drabów,
Policjantów różnych, żandarmów, konstabów;
Ale jeśli miecz tylko bezpieczeństwa strzeże,
Żeby w tych krajach była wolność — nie uwierzę“.

Dziś do tych samych myśli powraca Piłsudski, człowiek pozytywnej pracy państwowej i ogromnego w tym zakresie doświadczenia, człowiek, którego o mesjaniczne „utopie“, nikt chyba pomawiać nie będzie.

Możnaby na ten temat zapuścić się w daleko idące uogólnienia. Możnaby snując historjofobiczne konstrukcje dociekać, jakie to właściwości społeczne narodu naszego, dojrzewając w zwyrodniałej postaci, stworzyły „złotą wolność“ i „liberum veto“ — i twierdzić, że zbiorowa dusza Polski waha się pomiędzy anarchią, a porywami, które poczucie sprawy wspólnej, autorytetu i władzy rodzą jakby w zbiorowym natchnieniu. Możnaby wreszcie snuć analogie, a raczej faktyczne zbieżności historii z chwilą bieżącą, określając takie fakty, jak z jednej strony P. O. W., rozzbrojenie Niemców, postawienie Piłsudskiego na czele państwa, odruch obrony przed bolszewikami, — a z drugiej oszczerczą walkę przeciw temuż Piłsudskiemu gdy był Naczelnikiem i Wodzem naczelnym, zamordowanie Prezydenta Narutowicza, t. zw. „faszyzm“ rodziny i t. d., — jako szczytowe punkty owych wahań moralnych, pośród których dusza polska szuka dziś drogi w świetną lub ponurą przyszłość. W tej chwili jednak i na tym miejscu wystarczy może stwierdzenie, że dla władzy w Polsce — a zapewne w swoistej postaci i wszędzie indziej na świecie — musi być stworzony podkład moralny w duszy narodu. W duszy narodu musi zaistnieć taki nastrój, który władzy tej dawać będzie oddźwięk niezależnie od istniejących środków przymusu.

Ten podkład i ten oddźwięk nie da się skonstruować żadnym rozumowaniem. Musi on być wytworem właśnie owej „moralnej pracy narodu“.

Zadaniem naszym jest znaleźć tej pracy instrumenty, narzędzia, — zrozumieć, jaka strawa duchowa potrzebna jest dla rozwijających się i rozglądających w życiu sfer społecznych, oraz dla wzrastających młodych pokoleń, — poszukać, jakiego typu zrzeszenia krzewieniu się

owych cnót społecznych służą, — i z odpowiednią czujnością działanie czynników tych rozprzestrzeniać i jego skuteczności przestrzegać.

Tymbardziej, że w chwili obecnej przeżywamy właśnie takie wacnięcie się wstecz. Do decydującego wpływu na państwo doszły te czynniki w narodzie, które są negacją poczucia owego majestatu własnej niepodległości, są wyrazem zasady, że „Polska to prywatna“, są krzewicielami anarchji.

Gdzie szukać należy ich przeciwwagi, któraby rozwojowi Polski, jej świadomości moralnej inny nadała kierunek?

To co w całej Europie jest czynnikiem życia państwowej polityki społeczeństwa: partje polityczne, — u nas, jak dotąd, roli tej nie dosięga. Powód tego jest jasny, tkwi on w przeszłości przedwojennej, kiedy kształtowaniem partyj kierowały wszelkie możliwe motywy, tylko nie pozytywny stosunek do państwa. To też te partje, które stanowią dziś większość rządową, wszystkie co do jednej ani na jotę nie zaangażowały się jako takie w walkę o niepodległość państwową — i w logicznym wyniku rzeczy od chwili wyzwolenia w większości swej były czynnikami rozkładowemi wobec państwa, jego interesu — i przede wszystkim wobec tej moralności zbiorowej, która sprawy państwa stawia w blasku autorytetu i majestatu. Ale i reszta partyj, — tych, które program niepodległości stawiały, o jego realizację walczyły, co więcej, na platformie tego przede wszystkim programu nieraz się kształtowały — wobec zadań owej „pracy moralnej“ mającej fundować w duszach podkład władzy państwowej, okazała się nie dość silną. Dowodem tego jest ta chwila, gdy tworzyła się „większość“ dzisiejsza. Partje niepodległościowe powstaniu jej nie przeszkadzały, walki nie wytrzymały, — co więcej dla wytłumaczenia sobie samym własnego braku impetu do walki dorabiały argumentację, że należy przeciwnika na czas pewien „dopuszczać“ do władzy, aby sam się skompromitował. Czyniły tak bez względu na to, że ów eksperyment, gdyby był nawet celowy, podcinał to poczucie honoru i ambicji politycznej, która nie może znieść nawet myśli, by dopuszczać do władzy państwowej to — co jest w całej istocie swej władzy tej negacją. Czyniły tak wreszcie bez względu na oczywistą szkodę państwa.

Krytyki powyższej nie należy źle rozumieć. Nie chodzi tu o negację znaczenia stronictw. Nie chodzi o dowodzenie, że życie publiczne, parlamentarne w możliwej do przewidzenia przyszłości potoczy się u nas mimo partyj, ich pracy, ich programów, ich ludzi. Nie chodzi nawet o obniżanie wielkich niewątpliwie zasług wielu partyj naszych, lub zaprzeczanie potężnej roli, jaką w wielu pierwszorzędnej wagi sprawach państwowych i społecznych odegrać one mogą i muszą. Idzie tu tylko o ocenę, jaką rolę w tej właśnie sprawie: dokonaniu pracy

moralnej nad rozbudzeniem w społeczeństwie ducha państwowego, nad zbudowaniem poczucia majestatu własnych urzędów państwowych partje nasze dziś spełnić mogą. Same one pod tym względem odrodzenia potrzebują, więc decydującym czynnikiem jego z trudem stać się mogą. W każdym razie impuls musi przyjść z poza nich.

Skąd impuls taki przyjdzie?

W warunkach wojennych przychodził on z zewnątrz. Walka z zaborem i okupacją, potem zaś wojna z Rosją wydobywały z ludzi najgłębsze i najszlachetniejsze czynniki moralne; zrzeszeniom i ludziom, którzy sprawę podejmowali i brali ją na swoją odpowiedzialność, dawały siłę ekspansji duchowej, moc oddziaływania sugestywnego na otoczenie. Widzieliśmy na własne oczy tego przykłady. Stwierdziliśmy wyniki, które w psychice naszego ogółu wywoływała praca Legjonów, P. O. W., Formacyj polskich na wschodzie i t. d.—a potem wysiłki wojny obronnej. Wyniki te jednak nie okazały się zupełnymi. Zmiany w duszach narodu nie stały się dość pełnymi i trwałymi. Przyszło z nową siłą owo wahnięcie wsteczne, ku prywacie, ku anarchji. Dziś więc trzeba szukać impulsów nowych.

Dać ich może bez wątpienia nie mało historia, bo społeczeństwo nasze zdumiewająco mało wie o szczegółach i całokształcie tych wielkich, los nasz rozstrzygających, a bohaterskich wysiłków, rozsianych po kraju — i po całym świecie, „od modrej Wisły aż po Ren“ — ba, po Murmanie i Syberji, które odbywały się nieraz na jego oczach i w których nawet udział brało. Zapomnienie i rozmyślne oszczerstwo zaciera je coraz bardziej. Historia ich zatem wielką będzie mieć rolę wychowawczą, szczególnie dla młodych pokoleń, które choć w tym okresie, Polskę budującym, udziału brać nie mogły, przeżyć je winny duchowo. Ale najistotniejszym źródłem impulsów stać się muszą ludzie, którzy własnym wysiłkiem, własną nieprzymuszoną wolą, własnym mózgiem, własną niejednokrotnie krwią ukształtowali dusze swoje tak, że mają je prawo uważać za narzędzie historii idącej przez Polskę, za ogniska samowiedzy odrodzonej ojczyzny. Źródłem impulsów stać się muszą zrzeszenia owych ludzi; zrzeszenia, przynależność do których nie jest jedynie aktem przekonania, ale wynikiem dorobku owych na własną odpowiedzialność podejmowanych wysiłków.

Nazw zrzeszeń owych nie wymienię. Te bowiem, które już istnieją, są jeszcze w stosunku do zadań swoich tak mało sprawne i tak luźne, praca ich tak jest jeszcze mała, że może są to dopiero pierwsze jaskółki, pierwsze zwiastuny. Może sformują się twory nowe. Może te które istnieją są to dopiero jakby poczwarki, z których wyłonią się formy organizmu doskonałego.

W tej chwili to jedno wydaje się pewne, że impuls tej pracy moralnej narodu dać mogą, i muszą ludzie, którzy mają prawo powiedzieć sobie i światu: „Państwo polskie do nas należy”.

SPRAWA OBRONY PAŃSTWA

(A N K I E T A)

V. PUŁKOWNIK ZAJĄC — O ORGANIZACJI I MOBILIZACJI ARMJI.

— Jaki jest stosunek armji pokojowej do armji wojennej?

— Armja istnieje dla wojny. Dla celów wojny przygotowywana jest ona w czasie pokoju. Dlatego punktem wyjścia wszelkich planów organizacyjnych jest armja na stopie wojennej. Ten jedynie racjonalny punkt widzenia nie wszędzie i nie zawsze jest przestrzegany. Niejednokrotnie wysuwają się na plan pierwszy bieżące potrzeby armji pokojowej. Zdarza się nawet, że niektóre organy państwowe (np. skarbu, kontroli), nie czując bezpośrednio tej perspektywy wojennej, nie mogąc zdobyć się na myślenie w kategoriach potrzeb wojny, w tym błędzą, że oceniają takie czy inne urządzenia wojskowe z punktu widzenia stanu pokojowego. Armja w czasie pokoju to tylko szkoła dla celów wojny; zadań wojennych, takich np. jak operacje, nie byłaby ona w stanie spełnić. Dopiero mobilizacja, rozwijając jednostki bojowe, wypełniając kadry i przeobrażając odpowiednio całe życie narodu, tworzy z armji i całego narodu pełny organizm.

— Jak zorganizowane są władze wojskowe?

— Ministerstwo Spraw Wojskowych z Ministrem na czele jest organem centralnym, który kieruje życiem pokojowym wojska, przygotowaniem na wypadek wojny, oraz nadaje bodźca innym dziedzinom życia państwowego, a nawet społecznego w kierunku gotowości na wypadek wojny. Zasada jego organizacji jest następująca: 1) przygotowania wojenne—należą do Sztabu Generalnego; 2) życie codzienne w zakresie potrzeb materialnych—do Szefa Administracji; 3) uzgodnienie potrzeb wojska z finansami państwa—do Wojskowej Kontroli Generalnej. Wszystkie te trzy sprawy w zastosowaniu do poszczególnych broni i służb przepracowują poszczególne Departamenty.

Dla rozkładu pracy na całość armji państwo podzielone jest na

Okręgi Korpusów. Dowódca O. K. jest reprezentantem Ministra na swój Okręg. Skupia on w swym ręku władzę terytorjalną (administrowanie zasobami okręgu, więc przede wszystkim ludźmi, jako rekrutami, rezerwistami, i t. d.), co czyni za pośrednictwem Komendantów P. K. U.—i władzę dowódcy wojsk stojących w Okręgu.

—Jak przedstawia się nasza siła wojskowa w materjale ludzkim?

—Na to pytanie odpowiem tylko w najogólniejszych zarysach, raz dlatego, że normy ustawowe nie są u nas pod tym względem jeszcze gotowe (Ustawa sejmowa o powszechnym obowiązku służby wojskowej nie ma jeszcze mocy obowiązującej, ustawa o etatach pokojowych armji nie jest jeszcze ukończona i t. d.)—powtóre zaś ze względu na tajemnicę wojskową.

Chodzi tu o roczny kontyngent rekruta, o liczebność armji na stopie wojennej i na stopie pokojowej, o czas służby, o liczebność kadry zawodowej.

Liczebność armji, ze względów powyższych, wydedukuję tylko niejako *in abstracto*. Według doświadczeń wojny światowej państwo stawia pod broń kilkanaście procent swej ludności; wynika z tego, że Polska na wypadek wojny postawić winna 3 miliony żołnierza. Na każdy rocznik wypada u nas przeciętnie około 160.000 fizycznie zdolnych do noszenia broni, ta cyfra więc jest ramową wytyczną kontyngentu rekruta. Przy dwuletniej służbie wojskowej daje to dla armji na stopie pokojowej około 300.000 żołnierza.

Czas służby czynnej projekt ustawy określa w piechocie na 2 lata, dla broni jezdnych 2 lata i jeden miesiąc, dla obywateli z cenzusem naukowym na 1½ roku. Dekret Naczelnika Państwa, który dotychczas obowiązuje, naznacza służbę dwuletnią dla wszystkich broni i jednoroczną dla obywateli z cenzusem.

Liczebność pokojowej kadry zawodowej unormowana jest według potrzeb szkolenia, oraz według ilości tych stanowisk wojskowych, które — bynajmniej nie ze względu na większą wagę, tylko ze względu na potrzebę pewnej rutyny — winny być w czasie wojny obsadzone przez zawodowców.

— Jakie czynniki przedłużają względnie pozwalają skrócić czas służby czynnej?

— Czas służby zależy przede wszystkim od ilości i wartości tego elementu, który szkoli, a więc kadry zawodowej. Nasza młoda, zaledwie kilkuletnia kadra będzie jeszcze przez jakieś lat kilkanaście pozostawiać wiele do życzenia, musi się sama szkolić i powiększać (zwłaszcza jeśli chodzi o podoficerów zawodowych). Z tego powodu dwuletni okres służby w tej chwili jest jeszcze u nas konieczny.

Dalej zależy czas służby również od wartości szkolonych, t. j. re-

krutów. Polska ma materiał ludzki bardzo różnolity pod względem poziomu umysłowego, uświadomienia obywatelskiego oraz wyrobienia w zawodach praktycznych (technicznych), — a na ogół pod wszystkimi temi względami bardzo niski. Utrudnia to, rzecz jasna, szkolenie — a więc przedłuża czas służby, tymbardziej, że w program wyszkolenia wchodzić musi szkoła elementarna dla analfabetów oraz szkoła obywatelska dla nie dość pod tym względem uświadomionych, oraz dla żołnierzy narodowości niepolskich.

Wreszcie na czas służby wpływa ogólne przygotowanie wojskowe młodzieży, wyrobienie fizyczne, sportowe i t. d. Projektowana ustawa o powszechnym przygotowaniu wojskowym ma nawet przewidywać pewne ulgi i skróty w służbie dla przysposobionych wojskowo przed wiekiem poborowym.

Dzisiejszą skomplikowana technika wojenna, wymagająca bardzo dokładnego wyszkolenia, wpływa, rzecz jasna, na przedłużenie czasu służby czynnej.

— Jak wielki jest postęp w wyszkoleniu naszej kadry zawodowej.

— Jest on oczywiście bardzo znaczny w porównaniu z tym stanem, jaki państwo nasze odziedziczyło i z jakim prowadzić musiało wojnę, jakkolwiek — jak już o tem wspominałem — tworzenie kadry nie jest jeszcze u nas zakończone. Postęp odbywa się przez szkolenie nowych oficerów w szkołach polskich i według ustalonego polskiego programu, oraz przez jednolite przeszkalanie oficerów pochodzących z najrozmaitszych b. formacyj — polskich i obcych.

— Na czym polega przygotowanie mobilizacji?

— Jak to wynika z tego, co mówiłem na początku o stosunku wojska na stopie pokojowej do wojska na stopie wojennej, zadaniem mobilizacji jest wytworzyć z tego ułamkowego organizmu, z tego jakby szkieletu, jakim jest armia pokojowa, pełny organizm wojenny narodu i państwa. Nie tylko wojsko ale naród i państwo muszą być zorganizowane tak, by na wypadek wojny głównym zadaniem ich mogło stać się prowadzenie wojny, — aż do zwycięstwa. Już więc w czasie pokoju cała ta — pozostająca poza owym szkieletem wojska na stopie pokojowej, *reszta*, która w normalnym pokojowym czasie żyje dla swoich normalnych celów, a z punktu widzenia możliwości wojny przedstawia się jako suma *zasobów*: w ludziach, koniach, wszelkich materiałach, a nawet w wytwórczości i pracy, — musi być przygotowaną do użytku wojennego, t. j. objęta za wczasu planem mobilizacyjnym.

Zadaniem mobilizacji jest te dwa czynniki: armję pokojową oraz całą resztę narodu — zespolić w jeden organizm, zdolny do jaknajintensywniejszego prowadzenia wojny. Jednym z kardynalnych warunków jej udania się jest spełnienie tego zadania w czasie jaknajkrótszym. Wy-

nika z tego wszystkiego konieczność bardzo szczegółowego przygotowania mobilizacji, oraz ciągłego poprawiania, przystosowywania tych przygotowań do zmieniających się szczegółów życia społecznego.

Konieczność ta przypomina się w czasie pokoju społeczeństwu w postaci takich czy innych zarządzeń, dotyczących się n. p. ewidencji ludzi lub rozmaitych obiektów, które to zarządzenia, niezbędne dla planów i przygotowań mobilizacyjnych, wśród nieświadomych wywołują nieraz nieuzasadnione alarmy wojenne.

VI. PUŁK. KUTRZEBA — O STRATEGICZNYM PRZYGOTOWANIU OBRONY.

— Czy zechciałby Pan Pułkownik scharakteryzować bliżej t. zw. niedogodność naszych granic strategicznych.

— Kilkakrotnie już podnoszono tę kwestję w naszej prasie wojskowej; polega ona na nieproporcjonalnej długości granic „niebezpiecznych“ (tak na wschód jak i na zachód ponad 1000 klm.), oraz na ich niekorzystnym stosunku do obszaru państwa i do ilości mieszkańców. Na 1 klm. granicy mniej u nas wypada mieszkańców niż u naszych sąsiadów. Proporcje te wynikają z naszego położenia geograficznego i — można powiedzieć — geometrycznego; jest to konsekwencją „korytarzy“, które przedłużają granice. Mamy 7 razy dłuższą granicę „niebezpieczną“ niż Francja i — w stosunku do warunków obronnych Francji — o 250 milj. mieszkańców za mało.

Granice nasze są zewsząd otwarte, jedynie Karpaty stanowią obronę naturalną. Na korzyść naszą przytoczyć trzeba pograniczne bagna i puszcze, ale będą one stanowiły zasłonę strategiczną tylko tak długo, póki eksploatacja ich nie zrujnuje; skuteczność ich zależną jest przytym od pory roku. Wyżej wspomniane korytarze mają także swe dobre strony, rozdzielają bowiem naszych ewentualnych wrogów (Litwę od Rosji, Prusy Wschodnie od Pomorza pruskiego). Szczególnie ważnym brakiem naszej sytuacji strategicznej jest niedostateczna sieć kolejowa, łącząca pogranicza z wnętrzem kraju (szczególnie na zachodzie) — i mała dotąd wydajność kolei na kresach wschodnich; łączy się z tym brak bitych dróg (t. zw. Prügelwege, zbudowane przez Niemców rozpadają się). Poważną niedogodnością jest nierówność gęstości zaludnienia i stosunki narodowościowe na kresach. Na kresach wschodnich mamy przytym w tej chwili brak rezerwistów; mieszkańcy tamtejsi w czasie wojny służyli w W. P. tylko jako ochotnicy.

— Jakie z takiego stanu rzeczy wynikają postulaty dla poprawienia naszego położenia?

— Ujmę je krótko w kilku punktach. Będzie to więc:

- 1) Sprawna administracja państwowa i gminna, która umożliwia sprawną mobilizację ludzi, koni i materiału wszelakiego;
- 2) Zwiększenie zdrowotności publicznej, co wpływa na zwiększenie procentu poborowych i daje silniejsze rezerwy ludzkie;
- 3) Przygotowanie fizyczne młodzieży: umożliwia ono skrócenie czynnej służby w wojsku, przysposabia grunt do szybszego wyszkolenia podoficerów;
- 4) Szkolenie rezerw społecznych, które umożliwi skrócenie służby i wzmacnia wartość wojskową rezerwistów;
- 5) Rozbudowanie komunikacyj stosownie do potrzeb wojskowych, które wpłynie na szybkość mobilizacji;
- 6) rozwinięcie przemysłu, które umożliwi materialne wyposażenie armji, szczególnie w czasie wojny;
- 7) Rozwój oświaty ludowej, ułatwia ono szkolenie rekrutów i daje materiał podoficerski;
- 8) Wzmocnienie polskości na kresach: ułatwi ono obronę, a utrudni sabotaż nieprzyjacielski.

Nie mówię — bo nie jestem w tej sprawie kompetentny — jak silnie wpływa zdrowy duch narodu na *morale* wojska (mówił już o tem Marszałek Piłsudski ¹⁾), ale zaznaczam, że podstawą wszystkich powyższych postulatów jest — zdrowy skarb, od którego obrona Państwa bardzo, bardzo zależy.

— Na czym polega praca Oddziału operacyjnego?

— Oddział operacyjny pracuje pod przewodnictwem tego generała, który odpowiada za przygotowanie obrony. Robi się tu studja oparte na hipotezach o przyszłej sytuacji własnej i przewidywanych przeciwników. Im więcej takich studjów się prowadzi, tym dokładniej poznaje się swój system strategiczny. Praca to twórcza i nowa, — gdyż w tej mierze nic nie odziedziczyliśmy po zaborach — rzecz jasna — bo Polska dopiero powstała. Uzupełnienie tych studjów stanowią, gry wojenne. Większych manewrów w stylu przedwojennym dotąd nie robiliśmy wobec braku pieniędzy, jak też i z powodu tego, że podstawowe szkolenie utrudnione jest pracami uzupełniającymi braki przeszłości, jak n. p. dodatkowy pobór z b. Galicji, przeszkolenie rezerwistów i t. p. W końcu — jako rezultat studjów — powstaje „plan“ dla rzeczywistości. O nim jednak od nikogo „zwykły śmiertelnik“ nic się nie dowie.

Z wymagań operacyjnych w zakresie przygotowań obronnych

¹⁾ p. „Droga“ № 2—3.

wypływają postulaty dla innych oddziałów sztabu. Można powiedzieć że Oddział III a (operacyjny) jest sercem, które rozprowadza krew po żyłach całego organizmu sztabowego, który jest warsztatem pracy generała przygotowującego wojnę.

— Czy prace naszego Oddziału operacyjnego biorą pod uwagę niewątpliwy fakt, że mamy zagrożone dwa fronty: wschodni i zachodni?

— Oczywiście;—powiedziałem już poprzednio, że prace operacyjne powstają na mocy hipotez dowolnie stawianych. Nie chcę przez to powiedzieć, żeby wszystkie hipotezy, których jest bardzo dużo, były narówni pod względem ważności traktowane. Aktualną jest tylko taka, która odpowiada poglądom rządu na możliwości konfliktów zewnętrznych — czyli przygotowania operacyjne są tylko dalszym ciągiem polityki zagranicznej — na wypadek, gdyby zamiast słowa dyplomacji założyć musiał miecz żołnierza.

O naszym planie — jak to już zaznaczyłem — nie powiedzieć nie mogę, chyba to jedno, że zgodnie z naszą polityką zewnętrzną przygotowujemy się jedynie do obrony, a nie do napadu. Chcemy, musimy — i potrafimy obronić nasze granice.

— Jak należy pojmować łączność pracy Sztabu i M. S. Zagr?

— Aby hipotezy operacyjne, z których wywodzą się studia stanowiące podkład planów, były celowe, muszą one być zgodne z poglądami naszej polityki zagranicznej. Sztab nie może przewidywać rozpoczęcia przyszłej wojny w warunkach niezgodnych z rzeczywistością, a ukazać i przygotować dlań tę rzeczywistość ma polityka zagraniczna.

Z tego wynika, że generał odpowiedzialny za operacyjne przygotowania wojenne musi być stale w kontakcie z rządem, a szczególnie z ministrem Spr. Zagr. Nie znaczy to jednak, żeby dyplomacja mogła nie uwzględniać postulatów wojskowych; tę współpracę pojmować należy raczej w ten sposób, że generał dowiaduje się, jakie komplikacje grozić mogą, a dyplomata usłyszy wzamian, co armja w tym wypadku może zrobić. Z tak pojętej współpracy wyniknie myśl przewodnia, dająca wspólny kierunek tak pracy M. Spr. Zagr. jak i przygotowaniom operacyjnym.

Gdy położenie państwa jest tak niedwuznacznie określone, że możliwości zatargu są łatwe do skombinowania, współpraca ta trudną nie będzie, lecz jeżeli położenie jest skomplikowane pod względem geograficznym jak i co do przewidzenia i oceny ewentualnych przeciwników, zdania wojskowych i dyplomatów mogą być bardzo podzielone. Przytaczam jako przykład fakt, że Austro-Węgry przed wielką wojną miały formalny sojusz z Włochami. Ówczesny Min. Spr. Zagr. br. Aerenthal uważał ich za sojuszników, a szef Sztabu Generalnego br. Conrad von Hoetzendorf za wrogów, i mimo sojuszu — wszystkie przy-

gotowania wojenne czynił na tle tej odmiennej oceny sytuacji. Powstał wówczas ostry zatarg między tymi dwoma mężami stanu, który łagodził cesarz — i dopiero wojna światowa wykazała, czyja ocena była trafna.

Jakkolwiek bądź, Polska przy swoim położeniu geograficznym, otoczona prawie ze wszystkich stron nieprzychylnymi sąsiadami, musi się kierować myślą: strzeżonego Pan Bóg strzeże.

— W czym leżą główne zadania rządu i narodu w stosunku do obrony granic.

— Obowiązkiem rządu jest stworzyć na wypadek wojny takie warunki, któreby nie stawiały armji przed zadaniem ponad jej siły. Jest to trudna sprawa, bo zależy nie tylko od przygotowań własnych, lecz i od zamiarów naszych przeciwników, które się ściśle przewidzieć nie dadzą.

Polityka, która doprowadza do skrócenia granic niebezpiecznych przez zawarcie przymierzy lub zagwarantowanie sobie neutralności, skraca jakby odcinek frontu, na którym armja polska walczyć będzie. W tym znaczeniu porozumienie z Rumunją, Łotwą, Czechami daje nam w rezultacie front o setki klm. skrócony. Nasz sojusz z Francją daje nam gwarancję, że naprzeciw 65 milionów Niemców nie stanie tylko 28 milionów Polaków, albo 38 milionów Francuzów — lecz 66 milionów sojuszników. Sojusz z Rumunją ułatwi nam obronę przeciw Rosji, jeżeli do walki z nią nie stanie, jak w r. 1920, tylko armja polska, lecz i armja rumuńska, opierająca się o 16 milionowy naród. Państwa bałtyckie nie przyczyniłyby się wprawdzie do wzmocnienia naszej pozycji swą liczebną siłą, ale zmusiłyby Rosję do rozciągnięcia swego frontu o dalsze tysiące klm. co by ulżyło armji polskiej na jej rozległym froncie.

Z naszego trudnego położenia geograficznego wynika również trudność komunikacji z zagranicą przyjaźnie wobec nas usposobioną. Jeżeli sobie zdamy sprawę z tego, jak wielkie i różnorodne jest zapotrzebowanie materiału wojennego, to przypuściwszy nawet, że intensywność walk byłaby u nas mniejsza niż w wojnie światowej, dojść jednak musimy do wniosku, że Polska nie osiągnie zupełnej samowystarczalności pod względem materiałów, lecz musi mieć zapewniony dowóz z zagranicy. Przyjąć to trzeba chociażby z tego powodu, że nie wszystkie surowce posiadamy i nie wszystkie użyć możemy jako zapas wojenny. Aby jaknajbardziej zbliżyć się do ideału samowystarczalności, musimy rozbudować własny przemysł wojenny, żebyśmy zaś mogli dowozić z zagranicy, musimy mieć zapewnioną drogę morską i lądową. Pierwsza wymaga rozwinięcia marynarki wojennej, druga — układów odpowiednich z przyjazną nam zagranicą.

— Proszę na zakończenie o krótkie *resumé*.

— Całokształt zadań rządu i narodu wobec obrony państwa streszcza się w dwóch głównych punktach:

1) w dostosowaniu polityki wewnętrznej do postulatów wspomnianych szczegółowo poprzednio;

2) w racjonalnej polityce zagranicznej, która „skraca” granice niebezpieczne, daje sojuszników i umożliwia stały dowóz z zagranicy.

MICHAŁ SOKOLNICKI

O SPOTKANIU PIŁSUDSKIEGO Z WYSPIAŃSKIM

Zachęcony niedawnym ładnym apelem¹⁾ chcę ożywić nieco jedno nawpół zatarte wspomnienie. Rzecz działa się u progu nowej ery, której znamieniem stał się upadek Rosji. Kto już dziś opisze, kto obliczy, jakim brzemieniem dla dusz, jakim przekleństwem było do roku 1904 państwo Carów. W historiach określa rozmiar, zaludnienie, stopień rozwoju, ilość prześladowań; ale nikt już, nikt na szczęście, nie zrozumie nudy tej rozpacz, nędzy zwątpień i upokorzeń.

Państwo carów zachwiało się pod ciosem laońskiego. 22 stycznia 1904 roku tłum rosyjski wyszedł po raz pierwszy na ulicę i odźwięk pierwszego rozpęknięcia kajdan odbił się kręgiem rozległym w duszach pokolenia.

Mniej znaną, mniej zbadaną sprawą są do dziś oddźwięki, jakie znalazła klęska rosyjska w Polsce. Wznowiły się usłone przez lat czterdzieści usiłowania powstańcze. Powstały za inicjatywą Józefa Piłsudskiego, jesienią 1904, pierwsze związki wojskowe. Rozpoczęły się, z tejże inicjatywy pierwsze porozumienia polsko-japońskie.

W Polsce zarysowały się wtedy dwa światopoglądy. Dla jednych, ci byli najpewniej w większości, rewolucja rosyjska była zwiastunką nowej wiosny ludów, coś nakszałt 48 roku w Niemczech i rezultatem jej miały być przedewszystkim konstytucyjne, czy społeczne swobody istniejącego państwa; w obozie tych byli i socjaldemokraci, co potem utonęli we wszechrosyjskim komunizmie i narodowi demokraci, którzy zasłynęli we wszechrosyjskiej Dumie; dla drugich nowa era była nade-wszystko upadkiem Rosji, spełnieniem się strasznych dziejowych przez-

¹⁾ Z powodu artykułu T. Sinki w „Czasie” z 7 marca b. r.

naczeń, zależnych od zbrodni rozbiorów Polski, umożliwieniem zmarłych powstania. W kolei dziejów ci drudzy, marzyciele, jak ich wówczas zdawkowo nazywano, okazali się jedynymi realnymi politykami naszej doli współczesnej.

Wszędzie gdzie kielkował w podziemiach ruch rewolucyjny, wszędzie gdzie wśród grup zakordowych inteligencji polskiej jawiła się myśl odbudowania ojczyzny, promieniowały wówczas wrażenia i tworzyły się pomysły. Myślę, że specjalne studjum poświęcić dziś należy rodowodowi myśli o Polsce zbrojnej. Rodowodu tego szukać należy nietylko w pismach od fantasmagorii Miłkowskiego począwszy poprzez artykuły Mazura, aż do pierwszych technicznych wskazań walki orężnej. Rodowód ten równolegle, może głębszym choć ukrytym korytem, przechodzi przez dusze poetów, których życie było walką aż do śmierci o odkupienie Polski. Dużo trzeba by najprzód powiedzieć i odkryć, by można było w pełni przedstawić i pojąć, dlaczego Stanisław Witkiewicz otoczony był wciąż synowską poetów zarówno jak żołnierzy; historia kiedyś dopiero spokojnie opowie, jakie to powody, jakie to walki umysłów i serc sprowadziły, że Orkan napisał swoje posłanie „towarzyszom bojowcom“, a Żeromski rozpostarł nad ich grobami swój „Sen o szpadzie“.

*

*

*

W styczniu 1905 r. część inteligencji polskiej grupująca się w Zakopanem podlegała równie żywo, jak inne wstrząśnieniom powszechnym. Był tam Żeromski, dusza wszystkiego, zawsze marzący o twórczej organizacji. Był Miciński, który pewnego dnia wlaższy na krzesło zaproponował przygodnie zgromadzonemu obiór natychmiastowy króla polskiego. Był cichy pracownik z mądrymi zamierzeniami Dyonizy Bek. Zjawili się emisariusze z ziem objętych „kordonem“. Był i niżej podpisany, który wiele rozmów tam przeżytych opowiedział niedługo potem w małym druczku o wielkiej nazwie „Upadek Rosji“.

Józef Piłsudski po powrocie z Tokio przebywał w tym czasie między Krakowem, Lwowem a Zakopanem; prowadził dalsze układy z rządem japońskim o powstanie w Polsce, o dostawy broni; z dobrych najlepszych jednostek i grup P. P. S. w kontakcie z lwowską grupą „Odrodzenia“ tworzył i organizował pierwszy typ szkół wojskowych w nowopowstającej Polsce.

Naokoło tej organizacji, wkrąg jej twórcy i kierownika piętrzyły się trudności. Społeczeństwo zabiegało owczym pędem anarchii, grzęzło w wyżłobionych torach rosyjskiej niewoli. Niepodległość Polski istniała w marzeniach umysłów udzielnych, albo w zaułkach walki konspiracyj-

nej. Przerażliwa samotność otaczała jednych i drugich: artystów i żołnierzy. Codzienna przeciętność nie znosiła ani tych wyżyn, ani tych podziemi; żyła rzeczywistością. Realną była Rosya i jej niewola, o konspiracyi utarły się marne frazesy. I najbardziej rzeczywistą ze spraw społecznych, kwestyę niezależnego istnienia, wykuwać trzeba było nie tylko w ukryciu: w odosobnieniu, wśród powszechnej niechęci, płynąc przeciwko wszystkim prądom.

Stawało zagadnienie: jak przełamać to martwe koło? Potrzeba było moralnego autorytetu, któryby zbrojną walkę o niepodległość uczynił znów aktualną dla powszechności Polaków. Trzeba było głosu obcego walkom partyjnym, niezarażonego jadem niewoli, w nich płynącym. Tym moralnym autorytetem Polski pogrobowej była nie po raz pierwszy poezja. Ona broniła honoru bezimiennych walczących. „...Twe bohaterstwo wyższe jest, niżli japońskie... — pisał w 1905 Żeromski: wyprą się ciebie ziomkowie... tylko poezja polska nie opuści cię, żołnierzu...”

Żeromski, wrażliwy na utajone piękno, nieopuszczający sprawy nawet — a może właśnie wtenczas, kiedy jest przegrana, był jednym z inicjatorów tego zbliżenia poetów i żołnierzy. W małym światku w Zakopanem odbiły się jak krojobrazy w górskim stawie, wszystkie polskie klęski i nadzieje. Pojawiły się liczne zamierzenia. Wieczory literackie poświęcano sprawom, mającym związek z przygotowaniem powstania. Ludzie znani podjęli się zbierania pieniędzy na broń. Zaczęły się właściwe każdemu przedsięwzięciu wśród inteligencji dyskusje, pojawiły się kramiki konkurencyjne. Wtenczas sformułowany został wniosek: należy złączyć ludzi o imionach głośnych w narodzie, wydać wspólny manifest czy szereg pism; treścią tego manifestu byłoby oświadczenie o konieczności czynnych przygotowań do powstania. W ten sposób ujawni się przed narodem pewna liczba jednostek, ideowych budzicieli i twórców, i weźmie na siebie odpowiedzialność nazewnątrz za robotę faktyczną, która musi pozostać tajną i podziemną. Do tej myśli zapalił się, najofiarniejszy i entuzjasta, Żeromski. Postanowiono przedewszystkiem zwrócić się do Stanisława Wyspiańskiego i Stanisława Witkiewicza.

Na dołę Wyspiańskiego wypadło, po ogłoszeniu „Wesela“, być, czym niegdyś Mickiewicz, wieszczem w Polsce. Opinia narodu ukorzyła się przed nim. Nadzieje najlepszych zawisły na jego twórczości. Odtąd w całej jego duchowej naturze rodzi się bunt. Zaczęła się ciężka wewnętrzna walka, której w ofierze poniesie po kolei twórczość i życie. Znakiem tej walki zewnętrznym jest w 1903 „Wyzwolenie”. Nie wystarcza Wyspiańskiemu teatr. „Teatrum narodowe” rozkłada się na zasadnicze pierwiastki: naród i jego bezsilę; sztukę i jej druzgocącą

potęgę, i autora - aktora, niedokończonego człowieka wyzwolenczego czynu. Bywały chwile, że jak w rozmowie z Żeromskim, Wyspiański skarżył się na niewolę wieszczą: oto wynoszą go nad wszystkich i wszystko, oczekują twórczości, cudu nowego, a jemu pióro wypada z ręki. Bywało, że Wyspiański przeklinał zwodniczą marę poezji, tyranstwo pieśni, niedozwalające czynów. Bywało, że przełamywał sam kunszt piękna w sobie, usiłując na to miejsce z ducha stworzyć pierwiastek czynu, któryby dał narodowi wolność rzeczywistą.

Dla opinii sił budzących się w Polsce „Wesele“ i „Wyzwolenie“ były etapami, po których przyjść musiał albo upadek zupełny dobra i piękna, albo czyn praktyczny, wiodący do nowego powstania. Na dziwnych drogach, istic wewnętrznego z siebie tworzenia, spotkał się Wyspiański z pierwszymi, nanowo pracującymi żołnierzami.

Mam wszelki powód sądzić, że Wyspiański przed tą chwilą — lutym 1905 r. — nietylko nie miał zetknięcia z rozpoczynającym się ruchem wojskowym, lecz o nim wcale nie wiedział. Tak dziwnie dalekimi byli sobie ludzie bliscy, tak oddzielnie i rozbieżnie pracowały komórki jednej i tej samej tkanki. Dość, iż Wyspiański wówczas — w końcu lutego 1905 — po raz pierwszy od Żeromskiego dowiedział się o rozpoczętej robocie powstańczej. Szczegółów tej pierwszej rozmowy nie znam bezpośrednio, ale wrażenie uczynione na pocie musiało być wstrząsającym. Wyspiański zażądał osobistego zetknięcia z kierownikiem robót wojskowych.

Cała sprawa praktyczna przygotowań zbrojnych prowadzoną była w ścisłej tajemnicy. Wszystkie nici łączyły się z Piłsudskim, a poszczególni wykonawcy wiedzieli tylko to, co do ich zakresu było potrzebnym. W odróżnieniu od poprzednich robót spiskowych organizacja nie była już kierowaną przez t. zw. ciała kolektywne, komitety i zebrań, lecz składała się trybem wojskowym z jednostek, którym powierzano funkcję, z działań na podstawie rozkazów, i rozkazodawcy — Piłsudskiego. W sprawie „manifestu do narodu“, nie było żadnych zebrań ani gawęd; wtajemniczonych w nią było zaledwie kilku: Żeromski, ja, i paru najściślej zainteresowanych. Ja byłem odkomenderowany do tego zadania specjalnie i w tym charakterze uczestniczyłem w rozmowie Piłsudskiego z Wyspiańskim. Byliśmy we dwóch tylko.

Przyjął nas w swoim mieszkaniu na Krowoderskiej, w „światlicy“ z widokiem na kopiec Kościuszki, właśnie niedawno odtworzonym w szeregu subtelnych jak japońskie jedwabie krajobrazów. Na tym tle dalekim nigdy nie zapomnę twarzy Wyspiańskiego. Twarz raczej szczupłą, prześwietloną jakby pracą wewnętrzną, cera matowa, żołkniejąca; w niej oczy wielkie, zupełnie niebieskie, bardzo ciche, istniejące poza nim i otoczeniem, oczy przenikliwe i groźnie myśłące.

Wyspiański umiał słuchać. Słuchał długo, w zupełnem skupieniu, tego co mu mówił Piłsudski; zadawał pytania o szczegóły. Potym powiedział niewiele: robotę przygotowań wojskowych uznał za słuszną i konieczną; sam widział się niezdolnym do współdziałania praktycznego; gotów był jednak, przy pewnych warunkach, przyczynić się materialnie do tej sprawy, a także ogłosić swój pogląd, swą wiarę w możność powstania. O tych warunkach powiedział tylko tyle: nie chce aby jakikolwiek udział w całej rzeczy mieli dziennikarze, chce by ona była utrzymana bezwzględnie poza gazetami i dziennikarstwem; a dalej: to co o tej rzeczy wychodziłoby drukiem, musiało by być wydawane drukiem Anczyca.

Pamiętam, że wyszliśmy od Wyspiańskiego pod dziwnym, ciężkim wrażeniem: spotkania się dwóch światów, które są w istocie jednym i tym samym, a które nie mają sposobu zrozumienia się. Wydało nam się, że poecie obce są wszelkie kategorie praktycznego wykonania.

Realne swe zaofiarowania uczynił Wyspiański bezpośrednio w rozmowie z Żeromskim. Gotów był oddać na zakup broni swoje obrazy — cykl krajobrazów, malowanych z okna na Krowoderskiej, i nakład litografowanych odbitek rysunku Matki Boskiej Częstochowskiej. Osobno wynikła kwestja „Hymnu *Veni Creator*“, napisanego właśnie w tym czasie. O ile pamiętam — lecz mogę się mylić — Hymn został napisany przez Wyspiańskiego dopiero później i pod wrażeniem tych rzeczy nowych, których się dowiedział w rozmowach z Żeromskim i Piłsudskim. Wtenczas dopiero przejął się myślą walki orężnej i zgodnie z całym swym duchowym ustrojem udział w tej walce zaczął od modlitwy. Otrzymaliśmy wówczas korekcyjną odbitkę i pierwodruk „Hymnu“, który był, w intencji Wyspiańskiego, jego sobistą formą naszego „manifestu“. Ale druk został zatrzymany w korekcie przez dyrektora Drukarni Jagiellońskiej, prof. B. Ulanowskiego, sekretarza generalnego Akademii Umiejętności, której prezesem był jeszcze wówczas hr. Stanisław Tarnowski. Potężne musiały być te siły i wpływy, które niedopuszczyły do ogłoszenia rzeczy tej miary i zwichnęły taką intencję poety.

Sądzę dzisiaj, że rozmowa Wyspiańskiego z Piłsudskim była epizodem nie tylko wewnętrznych walk, w umyśle twórcy się dokonujących. Stanowisko społeczne poety było już od czasu „Wesela“, więcej jeszcze od czasu „Wyzwolenia“, wysuniętem i narażonem. Był profesorem Akademii Sztuk Pięknych, drukował swe książki w Drukarni Uniwersytetu Jagiellońskiego, uzależnionej od sfer naczelnych Akademii Krakowskiej. Położenie materialne poety nigdy nie było świetnym, stosunek wydawców do autorów rozgrywał się wśród najdzikszej swawoli. Wyspiański poczuł cały ten ciężar pół-obcy, zabierczy na sobie, na swej duszy, na swych dłoniach, gdy przyszedł z nim mówić

o walce za Polskę, walce orężnej. Tym bezpośrednim odczuciom dał wyraz nieco dziecinny w rozmowie z nami, gdy od Drukarni Jagiellońskiej i wszechpotężnego nacisku Ulanowskiego pragnął się schronić... do Anczyca.

Sprawa nie miała następstw praktycznych. Było przeciwnym woli Piłsudskiego stawiać stosunek z Wyspiańskim na płaszczyźnie otrzymania od niego osobistej ofiary na cele powstania. Chodziło tutaj o bezporównania więcej: o wpłynięcie przez poetę na idee narodu, na poziom moralny społeczeństwa, w którym działalność wojskowa miała się rozpocząć. Przyjęcie od Wyspiańskiego bezcennych obrazów i rysunku odłożono do czasu decyzji w tamtych, ważniejszych zagadnieniach. Ogłoszenie „manifestu“ uzależniono od rezultatu mej misji u Witkiewicza. Tymczasem już w kwietniu wszystkie sprawy wzięły obrót odmienny.

Sprawy te nie należą już do epizodu opisanego tutaj; są częścią historii szerszej i opisane być muszą gdzieindziej. Piłsudski w r. 1905 opierał swe plany wojskowe na podłożu ludowego powstania, na jedynej organizacji sił realnych, jakie istniały wówczas w kraju, dla rzućenia w bój: Polskiej partji socjalistycznej. To był grunt, na którym zamierzenia swe oparł. Grunt ten z pod nóg mu się obsunął. Partja socjalistyczna, pod wpływem żydów ujmujących jej ster, wyłączyła niepodległość Polski z pomiędzy dążeń bezpośrednich proletariatu. Ruch ludowy polski brnął na manowce żydowsko - rosyjskie. Dopiero w rok potem wpływ Piłsudskiego zdołał przełamać tę wewnętrzną niewolę i uratować P. P. S. przez założenie Frakcji rewolucyjnej. Teraz, gdy w lipcu pod Tsu-chimą rozstrzygnęła się wojna i zaczął zarysowywać pokój, ogromna większość społeczeństwa poszła na koncepcje rosyjskie: konstytucyjno - liberalne, czy rewolucyjno - anarchiczne.

Piłsudski akcji na szerzej zakrojonym terenie zaniechał, broń i zasoby przed niepowołanymi zamknął i wśród łun rewolucji rosyjskiej, oświetlających strasznym blaskiem Polskę i jej niezdolność do samodzielnego czynu, zaczął fachowe wychowanie żołnierza. Wyspiański czasów realizacji nie dożył.

STEFAN POMARAŃSKI

PROGRAM POLITYCZNY ROMUALDA TRAUGUTTA

O świcie 11 kwietnia 1864 roku aresztowano Dyktatora Romualda Traugutta. Tegoż dnia stawiony dla wstępnego przesłuchania przed Wojenno-słedczą Komisję, zrazu nie wyjawiał swego nazwiska ani stanowiska. Łudził się, że Komisja śledcza nie wie kogo ma przed sobą. Poznany jednak przez jednego z członków Komisji, swego dawnego współtowarzysza broni z czynnej służby rosyjskiej — podpułkownika Zdanowicza, a następnie wydany w zeznaniach i w konfrontacji przez spisowców Karola Przybylskiego i Cezarego Morawskiego, wyznał, kim jest i jaką rolę odgrywał w walce powstańczej.

Na drugiej z kolei indagacji, 19 kwietnia, widząc, iż Komisja śledcza posiada już wszystkie dane co do niego samego i co do urzędu, jaki piastował, zeznał, że był kierownikiem Rządu Narodowego i zapowiedział szczegółową deklarację: „o celu i działaniach moich po przybyciu do Warszawy... z tym tylko zastrzeżeniem, że nikogo z osób nie powołam”... Zgodnie z tą zapowiedzią 4 maja podyktował zeznanie, w którym wyłożył zasady swej politycznej wiary.

Treściwe, głęboko ujęte credo obywatela nieskazitelnego charakteru, stalowej woli, nieprzebranej ofiarności, — jest nie tylko świadectwem jego dojrzałości politycznej, jasności sądu i świadomości sytuacji, lecz także ostatnim słowem męża stanu, wypowiedzianym w obliczu niezawodnej śmierci. Czuł, że jest to jedyna już sposobność publicznego wyłożenia zasad programu, o jaki oparł swoje rządy.

* * *

Będąc przekonanym — dyktował Traugutt swe zeznanie, — że niezależność jest koniecznym warunkiem prawdziwego szczęścia każdego Narodu, zawsze jej pragnąłem dla swojej Ojczyzny, a to tym bardziej, że i oswobodzenie się Rosji od ciężaru panowania nad Polską liczyłem za również konieczny warunek do zwrócenia całej działalności rządu i ludu rosyjskiego na rzeczywisty porzytek tego obszernego państwa.

Były to moje pragnienia, których urzeczywistnienia oczekiwałem od boskiej sprawiedliwości i miłosierdzia.

Powstania nikomu nie doradzałem, przeciwnie, jako były wojskowy, widziałem całą trudność walczenia bez armji i potrzeb wojennych z państwem, słynącym ze swej militarnej potęgi.

Gdy zbrojne poruszenie wybuchnąć miało w okolicy mojego za-

mieszkania, to jest w powiecie Kobryńskim, gubernji Grodzieńskiej ¹⁾, na kilka dni przed terminem udano się do mnie, błagając, abym objął dowództwo. Zagadniony zupełnie niespodzianie, przedstawiłem wszelkie przeszkody, tak ogólne, jak i osobiste i radziłem odwołanie. Okazało się, że odwołać nie było już czasu; zgodziłem się wtedy na prośbę, bo jako Polak osądziłem za mą powinność nieoszczędzanie siebie tam, gdzie inni wszystko poświęcali.

Dalsze moje losy wiadome ²⁾; przechodzę więc, stosownie do życzeń Komisji śledczej, do moich działań od czasu przybycia z Krakowa do Warszawy, dokąd udałem się 10 października 1863 r. wskutek zaszłych we wrześniu tegoż roku tamże wypadków ³⁾ i wskutek prośb i nalegań w Krakowie, abym spieszył zapobiec, o ile się da, skutkom tych wypadków.

W Warszawie zostałem zaproszony do składu Rządu Narodowego i po rozpatrzeniu się w sytuacji, a także zmianie głównych osób, za ich własną zgodą objąłem ster Rządu i przystąpiłem do uporządkowania, o ile było można, wszystkiego ⁴⁾.

Widząc zawsze rzeczywistą siłę naszą w samym kraju i narodzie, a nie zagranicą, zwróciłem całą uwagę na skarb i wojsko.

W tym celu starałem się o przeprowadzenie pożyczki zagranicą i w kraju. Pierwsza nie powiodła się wskutek nie dojścia do celu starań naszych o uznanie nas przez państwa zachodnie Europy za stronę wojującą ⁵⁾. Druga w części mogła być przeprowadzoną i ona też służyła nam za główne źródło dla zaspokojenia potrzeb wojskowych. Największa oszczędność i zaprowadzona kontrola służyły dla spótygowania niejako szczupłych naszych zasobów pieniężnych ⁶⁾.

¹⁾ Traugutt gospodarował wtedy w majątku swoim, Ostrowiu.

²⁾ O tem poprzednie zeznania.

³⁾ Zamach stanu Chmieleńskiego i zamęt spowodowany jego rządami.

⁴⁾ Objęcie rządów przez Traugutta nastąpiło w tydzień po jego przybyciu do Warszawy t. j. 17 października. Przytoczone z tej okazji przez Limanowskiego (str. 417 *Historja Powstania Narodu Polskiego 1863 i 1864 r.* Wyd. II) słowa Traugutta są przekładem niezbyt ściśle przetłumaczonego na rosyjski przez Berga powyższego ustępu zeznania Traugutta.

⁵⁾ Jednym z główniejszych warunków tego uznania miało być ukazanie się bandery floty polskiej. Tym się tłumaczy waga, jaką przywiązywał Traugutt do puszczania pierwszego okrętu pod flagą narodową.

⁶⁾ W dziedzinie skarbowej Traugutt kontynuował politykę Rządu Majewskiego, który w czerwcu wydał dekret o 5⁰/₁₀₀ pożyczce narodowej w wysokości 21 milionów złp., rozłożonej między poszczególne dzielnice (7 mil. na Królestwo, 7 mil. na Litwę i Ruś, 5 mil. na Galicję, 2 mil. na Księstwo Poznańskie). Ponadto 22 listopada nałożono podatek nadzwyczajny, wynoszący 15 złp. na bawiących bez polecenia Rządu za granicą Polaków.

Wojsko powstańcze poleciłem organizować nie oddziałami, jak uprzednio, co prowadziło do ostatecznej dezorganizacji, ale zupełnie na sposób armii regularnej, z podziałem na korpusy, rozumiejąc pod tą nazwą nie siłę dawniejszych korpusów rosyjskich, lecz liczbę ludzi zupełnie nieokreśloną, gdyż takie znaczenie ma słowo korpus w innych armjach europejskich¹⁾.

Przedwczesne i samowolne ogłoszenie tego postanowienia w Galicji spowodowało, że je policzono za rzecz więcej efektowną, jak rzeczywistej wagi, przez co też postanowienie to w części tylko spełnionem zostało, a tym samym nie mogło przynieść należytej korzyści²⁾.

Idąc zawsze w jednym kierunku, wydawałem wciąż rozporządzenia, mające na celu zaprowadzenie jaknajwiększej karności, porządku i moralności w wojsku³⁾.

Działanie administracji było mniej więcej czynne, stosownie do zasobów pieniężnych i siły wojskowej w danej miejscowości. Za zasadę tu przyjąłem wielką decentralizację tak z powodu lepszej znajomości przez władze miejscowe wszystkich miejscowych warunków, jakoteż

¹⁾ Reorganizację armii powstańczej zarządził Traugutt Dekretem 15 grudnia, znoszącym podział sił zbrojnych na województwa i partje, a zaprowadzającym podział na regularne jednostki wojskowe, szwadrony, kompanje, bataljony, pułki, dywizje i korpusy.

²⁾ W całej pełni zastosował je jedynie generał Hauke na terenie województwa Sandomierskiego i Krakowskiego.

³⁾ Tenże dekret z 15 grudnia, zabraniając rozpuszczania oddziałów, będących przyjętą obyczajową formą dezercji, głosi: „Jeżeli tak szkodliwy zwyczaj trwał aż dotąd i stał się prawie nałogiem, wina w tym nie żołnierza ale oficerów. To też oficerowie dokładnym objaśnianiem obowiązków żołnierza, a co główne, osobistym swym przykładem powinni naprawić owo nieszczęsne, demoralizowanie wojska. Żołnierz nasz, rzecz można, nie pojmował dotąd, że nie ma dla niego większej hańby jak opuszczenie szeregów, w których stanął dla wyzwolenia Ojczyzny“. Podobne wezwania do podniesienia moralności i karności w wojsku, spotykamy niemal w każdym rozkazie do dowódców. W jednym z listów do gen. Haukego tak pisze Traugutt: „Żołnierz polski powinien być prawdziwym żołnierzem Chrystusa. Czystość obyczajów i nieskalaną cnotę, a nie samowolę i demoralizację roznosić wszędzie powinien. Cnota żołnierza naszego powinna być czynną, t. j. zasadzać się głównie na czynach, połączonych z poszanowaniem zewnętrznych form, przez Kościół przyjętych i uświęconych, jako objaw widomy uczuć wewnętrznych, ale bynajmniej nie uważając tych form za treść samą, za dojrzałość chrześcijańską... Niech będzie wiara gorąca i szczerza bez fanatyzmu, pobożność prawdziwa bez bigoterji, przyzwoitość obejścia się zarówno daleka od śmiałego narzucania się jak i od zimnej, odpychającej surowości... Czy wojsko w ten sposób prowadzone walecznem się stanie, czy pobije wroga, oto i pytać się nie należy: będzie ono nie tylko waleczne, ale niezwykłe...“

i z przyczyny utrudnionej komunikacji władz prowincjonalnych z władzą centralną¹⁾.

Służba zagraniczna została urządzona w ten sposób, iż wszystkie agencje znosiły się wprost z Rządem, a nie za pośrednictwem agencji Paryskiej, jak było uprzednio. Przez to agencje nabierały więcej powagi i myśl Rządu wierniej przez nie pojmowaną być mogła²⁾.

Głównym celem agencji politycznych postanowiono: oświecanie opinii publicznej co do prawdziwych powodów i dążności powstania naszego, a także działanie, zawsze zgodne z prawami każdej narodowości do jej niezależnego bytu, a to, prócz wspólności z naszą sprawą, głównie z tych pobudek, iż skoro Bóg podzielił ludzkość na Narody, dając każdemu z nich pewne odrębne cechy, każdy więc Naród równe ma prawo do swego istnienia, jako niezależna jednostka, rozwijająca ze swobodą zupełną, tę myśl, którą Stwórca w jej łono złożył. Stąd następstwa, że nie należy ludziom działać niezgodnie z zamiarami Boga, a jeżeli zechcą to zrobić, trudy i wysiłki zawsze muszą się udaremnić, zostawiając po sobie tylko pamiątkę wielkich cierpień i nieszczęść wszelkiego rodzaju.

Celem zaś jedynym i rzeczywistym powstania naszego jest odzyskanie niepodległości i ustalenie w kraju naszym porządku, opartego

¹⁾ Zastanawia nieco, że Traugutt, szczerzy demokratą, mówiąc o wewnętrznym systemie swych rządów, nie poruszył ani słowem strony ich społecznej, a przede wszystkim ogólnej równości wobec prawa i uwłaszczenia włościan. Mógł to zrobić rozmyślnie, mógł jednak i przeoczyć. Znane są jednak jego poglądy w tej sprawie, a streszcza je następujący ustęp okólnika do agentów dyplomatycznych: „Prawa wolności, równości i uwłaszczenia trzech czwartych przyszłych obywateli (t. j. włościan), ogłoszone z natchnienia Narodu... przez cały Naród zgodnie były przyjęte i w życie wcielone“. A dekretem z 24 grudnia ustanowił specjalny urząd administracyjno-sądowy, który miał się zająć wyłącznie sprawą uwłaszczenia włościan. W liście zaś do gen. Haukego tak ujmuje rolę wojska w tej sprawie: „Rząd Narodowy patrzy na wojsko nie tylko jako na obrońców kraju, ale zarazem jako na pierwszych i najwierniejszych stróżów i wykonawców praw i postanowień przez Rząd Narodowy wygłaszanych, a przede wszystkim praw, nadawanych ludowi polskiemu na mocy manifestu Rz. N. z d. 22 stycznia 1863 r., ktoby się zaś odważył te prawa gwałcić, ma być uważany za wroga ojczyzny i to za wroga gorszego od Moskala i Niemca.

²⁾ Początkowo głównym zagranicznym reprezentantem Rządu był Władysław Czartoryski w Paryżu, który dopiero mianował swych zastępców we wszystkich stolicach europejskich i uzależniał ich od siebie. W ten sposób Rząd nie mógł bezpośrednio wpływać na politykę zagraniczną, a wszelkie zarządzenia kierował przez Czartoryskiego. Z czasem system ten okazał się niepraktycznym, a często zawodnym, wobec czego jeszcze rząd Majewskiego postanowił w sierpniu uzależnić agentów dyplomatycznych wprost od siebie. Traugutt w tym wypadku podzielił zapatrywanie swych poprzedników i w dalszym ciągu kontynuował ich zarządzenie.

na miłości chrześcijańskiej, na poszanowaniu prawa i wszelkiej sprawiedliwości, udzielając obywatelom należytej swobody, bez naruszenia powagi i prawdziwej siły, jaka się władzy najwyższej, strzegącej porządku bezpieczeństwa wszystkich należy.

Uważając to wszystko za konieczne dla siebie, nie mamy żadnego zamiaru mieszać się do innych, rozumiejąc to dobrze, że każdy naród chrześcijański, prócz wspólnej zasady społecznej, mieć musi rozmaite, oddzielne, sobie właściwe instytucje. Pamflet, kursujący w prasie pod nazwiskiem programatu rewolucyjnego Mierosławskiego, nie ma nic wspólnego z powstaniem naszym i nie jest mi wiadomo, czy to rzeczywiście utwór Mierosławskiego.¹⁾

Idea narodowości jest tak potężną i czyni tak szybkie postępy w Europie, że jej nic nie pokona, a wstrzymywanie jej postępu posłuży tylko do nabrania siły i popularności ludziom najbardziej rewolucyjnych przekonań, którzy nie widzą innego środka do zaspokojenia pragnień wielu ludów, jak tylko ogólną burzę społeczną i zupełny przewrót istniejącego porządku rzeczy²⁾.

Daleka jest odemnie wszelka zarozumiałość i ta zuchwała myśl, abym jaśniej rzeczy widział, jak znakomici mężowie stanu europejscy, ale, nie będąc skrępowani ani tradycją, ani rutyną, swobodniej obrać

¹⁾ Rząd Narodowy w enuncjacjach nie przesądzał naprzód definitywnie form społecznych i politycznych przyszłego Państwa niepodległego, pozostawiając to władzom legalnym i oficjalnym reprezentantom narodu w przyszłości. Traugutt w zeznaniu zastrzega się, iż względem spraw wewnętrznych innych narodów, a zwłaszcza Rosji, Polska zachowuje całkowitą neutralność. Tym nie mniej groźba chwycenia się najostrejszych środków rewolucyjnych do odzyskania Niepodległości, choćby nawet przez wywołanie ogólnej rewolucji społecznej, mogącej zrujnować cały porządek Europy współczesnej, niejednokrotnie spotyka się w enuncjacjach, rozsyłanych za pośrednictwem agentów dyplomatycznych do Rządów, oraz w komunikatach do prasy zagranicznej. Sztandarowym człowiekiem tej walki był właśnie Ludwik Mierosławski. Mówiąc o jakimś „programacie Mierosławskiego“, Traugutt miał na myśli pewno jeden z licznych druków ulotnych, propagujących powszechną rewolucję socjalną. Zresztą następny zaraz ustęp zeznania groźbę takiej burzy podkreśla wyraźnie.

²⁾ Zasadzie tej idei narodowości Traugutt był wierny i w życiu wewnętrznym, Polski przewidywał ją wyraźnie. W tym kierunku szły zamierzenia Rządu, od Komitetu Centralnego poczynawszy, kiedy gwarantowano prowincjom Litwy i Rusi całkowitą równość z Koroną, obronę zasad i tradycji narodowych, swobodę wyznań, całkowite równouprawnienie Kościoła Wschodniego. Zasady te streszcza piękne hasło „Wolność — Równość — Niepodległość“ umieszczone na pieczęci Rządu, zawierającej herby Polski, Litwy i Rusi. Z tym również związana jest autonomia działania, jaką w praktyce miały władze powstańcze na Litwie i Rusi.

mogę stanowisko, z którego na rzeczy patrzeć należy i z niego też patrzę.

Wypowiadając tu szczerze swe pojęcia i przekonania — kończy Traugutt —, dając w ten sposób najjaśniej poznać, w jakim duchu i kierunku działałem i drugim działać polecałem¹⁾.

* * *

Piękne to zeznanie Traugutta, rzucające nowy jasny promień na jego postać — jedną z tragiczniejszych doby porozbiorowej, — nacechowane godnością, która zmusiła nawet znanych z okrucieństwa członków Komisji śledczej do szacunku, jakiego zaznawał przez cały czas pobytu w więzieniu, — uderza niezachwianą wiarą w ziszczalność idei, za którą niebawem miał złożyć życie, koronując nim ogromną ofiarę swego pokolenia.

Jakże dziś okazuje się ono proroczym!

GABRIELA KOSIŃSKA

W SPRAWIE ARTYKUŁU „RELIGJA A NOWA POLSKA“

Redakcja z całą gotowością zamieszcza ten artykuł, tym bardziej, że zawiera on momenty dla zagadnienia religijnego istotne, które w dalszej dyskusji będą zapewne uwzględniane. Co się tyczy końcowego ustępu o Marjawitach, redakcja nie ma informacji, o wartości tego ruchu, więc zamieszcza go na odpowiedzialność autorki.

Myślę, że niejednen z czytelników „Drogi“ przeczytał z uczuciem ulgi artykuł p. Hołówki „Religia a nowa Polska“; gdyż uczynił on za-
 dość potrzebie wywnętrzenia się z uczuć głęboko ukrywanych, z tę-
 sknot przytłumianych, którym w pewnych sferach prawo obywatelstwa
 dawno się odebrało — a przytym był czymś więcej, bo silnym rzutem
 odwagi cywilnej, targnięciem się na to, co t. zw. inteligencja uważa za

¹⁾ Zeznanie te, jak wogóle cały materiał śledczy przechowany w Archi-
 wum Akt Dawnych w Warszawie, miał w ręku i w miarę możliwości wyzy-
 skał Mikołaj Berg w pracy: *Polskoje wozstanie w 1863—1864 gg.* Pośrednio przez
 jego pracę niektóre szczegóły wyzyskali inni historycy powstania styczniowe-
 go, jak Przyborowski, Dubiecki i Limanowski.

fundament niewzruszony: na samowystarczalność własnej myśli krytycznej.

Artykuł ten jest tym samym zwiastunem nadchodzącej „chwili osobliwej“, zapowiedzią odrodzenia znużonego i zdemoralizowanego fermentami powojennymi człowieka w Polsce przez zwrot jego od roztargnień chwili do rzeczy wiecznych.

Jest zapowiedzią i przeczuciem tej chwili, ale przeczuciem niejasnym, nieokreślonym jeszcze, które nie wyłobiło sobie dróg we własnym wnętrzu i nie ma tam jeszcze żadnego oparcia.

Skomplikowana psychika współczesnego inteligenta, przewaga intelektu, gorączkowe życie polityczne i społeczne i wielkość zadań, czekających każdą uobywateloną jednostkę — wszystko to sprawia, że coraz trudniej o przeżycia religijne, które wymagają koncentracji duchowej i pewnej obojętności dla chwili bieżącej.

Z tego powodu zagadnienie religijne w owym artykule stało się raczej przedmiotem rozważań nad jego wartością społeczną, użyteczną, a całe *clou* artykułu leży w niezmiernie doniosłej sprawie przeżywań religijnych ludu, związanych z napływającymi „nowinkami“ z Ameryki i sprawie społecznego znaczenia torującego już sobie w Polsce drogę Kościoła Narodowego.

Kościół ten — według relacji p. Hołówki — spotyka się z dużą sympatją wśród ludu, w łonie którego zaczynają nurtować prądy analogiczne do zainteresowań szlachty reformacją w XVI wieku.

Nie znam wprawdzie obecnych nastrojów wśród ludu i stopnia jego wrażliwości na owe nowinki, stąd brak mi tych danych, na których opiera p. Hołowko swoje wnioski. Sądzę jednak, że gdyby nawet pewna analogja z okresem reformacji być miała, to zainteresowanie ludu nowymi prądami nie tyle może świadczyłoby o jego potrzebach religijnych, i pogłębieniu zagadnień religijnych, ile o rozbudzonym krytycyzmie w stosunku do kościoła rz.-kat., a raczej niezchęceniu do jego przedstawicieli, w czym względy materialne napewno dużą odgrywają rolę.

Tu ma swe źródło pewien ferment rewolucyjny, który ułatwia drogę Kościołowi Narodowemu w Polsce i przerzuca pomost porozumienia między ludem a inteligencją postępową, a nie oddala od niej, jak tego się obawia p. Hołowko.

Oddalałby, gdyby Kościół Narodowy niósł jakieś nowe ujęcie wierzeń, trudne lub zgoła niemożliwe do przyjęcia przez inteligencję, gdyby głosił nową erę, „nowy wybuch chrystjanizmu“, jak to czynili w swoim czasie Towiański, Cieszkowski, a dziś Marjawici, gdyby więc wymagał niespodziewanego wysiłku, przewyciężenia psychiki inteligencji naszej, tak obcej tym stanom duszy.

To „niebezpieczeństwo“ jednak dotąd nie grozi, skoro p. Hołówko, znający widać dobrze ten kościół, rozpatruje głównie jego społeczne i demokratyczne wartości, nadmieniając co do spraw religijnych tylko to, że Kościół Narodowy zachowuje całą obrzędowość i tradycyjność Kościoła rzym-kat., do której zresztą nie tylko lud ale i inteligencja jest przywiązana.

Mam więc wrażenie, że przedstawiciele Kościoła Narodowego poza strukturą organizacyjną swego kościoła, która jest już gotową i nadaje mu dużą społeczną wartość, są jeszcze w fazie duchowego kryształizowania się i odrębnej swej fizjonomji przejawić jeszcze nie mogą.

Niezależnie jednak od tego Kościół Narodowy posiada niewątpliwe walory, tkwiące w jego rewolucyjnym na naszym gruncie charakterze. Spełni on doniosłą rolę, jeżeli zwali fałszywe bożyszczą, jeżeli podważy w duszach niewolników o zgiętych karkach autorytet hierarchji ciała a nie ducha, jeżeli odświeży w masach uczucia religijne, a tym samym wypali obłudę i dewocję — i zaprowadzi na czyste wody, nad którymi spotkać się będziemy mogli ze światłem nieznanym nam dotąd promieni. Odegra może w ten sposób rolę Jana Chrzciciela nowego renesansu religijnego, do którego mniej lub więcej świadomie wielu z nas tęskni.

Czy poza tą rewolucyjno-społeczną rolą znajdzie Kościół Narodowy siłę, by wziąć rząd dusz, by przetworzyć nasze opłakane stosunki, by podnieść poziom etyczny naszego życia — trudno o tem przesądzać. Stwierdzić jednak należy, choćby tylko na podstawie tego, co mówi p. Hołówko, że kościołowi temu, jego wewnętrznemu bytowi, grożą poważne niebezpieczeństwa.

Ponieważ Kościół Narodowy wewnętrzną swą organizacją i niektórymi postulatami odpowiada demokracji polskiej i na jej tylko poparcie liczyć może, stąd łatwo wpaść może w zależność ¹⁾, mimowoli przystosowując się do jej poziomu, robiąc ustępstwa z pojęć zbyt dla niej „niewspółczesnych“, zbyt rażąco odbiegających od jej sposobu myślenia. Wyzbywając się mistycyzmu, którego inteligencja tak się boi jak djabeł święconej wody, Kościół Narodowy otworzy natomiast wrota „duchowi czasu“, a słowo to enigmatyczne jeżeli rozebrać z jego konspiracyjnej obsłony, oznacza nie co innego tylko zracjonalizowanie Kościoła, wsączenie weń pierwiastka świeckiego. Pierwiastek ten podminuje z czasem autorytet Kościoła Narodowego w sprawach

¹⁾ O niebezpieczeństwie tym świadczą usiłowania Stapińskiego, który w Małopolsce rozciąga demonstracyjną opiekę nad Kościołem Narodowym, w celach niewątpliwie wyłącznie partyjno politycznych. (Red.).

religijnych i zetrze ten duchowy czar rzeczy nie z tego świata, którym wszystkie kościoły stoją.

Żeby nie mieć co do tego wątpliwości, wystarczy przytoczyć ustęp z artykułu p. H. Sądzi on, że Kościół narodowy „odrzucając jeden z kardynalnych dogmatów kościoła rzymskiego, nieomylność papieża, siłą rzeczy musi na nowo budować całą swą naukę religijną (!) a wobec swej budowy wewnętrznej, i wobec tego, że jest kościołem zdobywającym, nie może nic narzucać swoim wiernym, lecz musi ich przekonać“.

Widzimy tu, że autor zagadnienia religijne mierzy tą samą miarą, co inne, polityczne lub społeczne, sądzi więc, że nic innego tylko odpowiednie argumenty wystarczą do zjednienia Kościołowi Narodowemu zwolenników, a kwestja jakichś zmian w kościele będzie zależała od wpływów inteligencji i jej udziału w jego życiu.

Zachodzi tu tak wielkie, że aż tragiczne nieporozumienie, gdyż religja leży w sferze zupełnie irracjonalnych potrzeb i pragnień człowieka i dlatego żadne argumenty rozumowane znaczenia tu mieć nie mogą.

Religja jest to pragnienie zerwania pęt materialnych, jest i wzlotem w krainę *au delà d'ici bas*.

Jest dążeniem do zlania się z Duszą świata i wyczekiwaniem drogą mistycznego zachwyty na światło z wyżyn.

Jest radosnem ukorzeniem się przed potęgą Nieznanego.

Jak do świata tak obcego dla przeciętnego inteligeta dotrzeć?

W duszy każdego z nas jest furteczka, nie zatrzaśnięta może jeszcze zupełnie, ale prowadząca do „kraju lat dziecińczych“, kraju wzruszającej naiwności i cudownej prostoty.

Odszukanie dziecka w sobie będzie pierwszym stopniem inicjacji w sprawach ducha. Wszak Chrystus powiedział owe znamienne słowa: „Jeżeli nie staniecie się jak dzieci, nie wnijdziecie do Królestwa niebieskiego.“

Inicjację wtórą moglibyśmy otrzymać przez pogłębienie dzieł naszych wieszczów i myślicieli, zwłaszcza z epoki romantycznej. Oni to zrozumieli małość swego rozumu (Mickiewicz „Rozum i wiara“) i ukorzywszy się przed Tajemnicą otrzymali wzamian moc półbogów (Słowacki „Tak mi dopomóż“) i wzniesli się na niedostępne nam szczyty natchnienia.

Takie są drogi wtajemniczenia w sprawy ducha i inteligencja, która—jak stwierdza p. Hołowo—„jest wyzuta z religijności i w tej dziedzinie ma ogromną pustkę ducha“ tak długo nie powinna kusić się o wpływy na Kościół Narodowy, jak długo nieubłagalny proces duchowy nie wydobędzie z niej prostoty wobec zagadnień religijnych.

Może wtedy rzeczywiście inteligencja polska weźmie udział w renesansie, który nie może być i nie będzie niczym innym, tylko powro-

tem do czystej idei chrześcijańskiej, gdyż póki cała głębia wartości filozoficznych i moralnych, zamknięta w zakonie Chrystusowym, nie zostanie przyjęta i w życie wprowadzona; póki rozpięta nad globem krwawa ofiara Chrystusa będzie czekała wypełnienia, nie myśleć nam o budowaniu nowej „nauki religijnej“.

Od Kościoła narodowego pragnęlibyśmy się spodziewać istotnego unarodowienia, które będzie polegało na przejęciu się i przypomnieniu najpiękniejszych tradycji polskich i natchnień wielkich w narodzie proroków i myślicieli. Marzenia ich wzniosłe, genialne pomysły nie były może utopią, skoro i dziś, w naszych czasach, znalazły zwolenników wśród ks. Marjawitów, ludzi reprezentujących najgłębszy bodaj religijny kierunek w Polsce, a mimo to, a może właśnie dlatego, nie uznawanych i lekceważonych przez społeczeństwo.

Dla nich to ów kościół Ducha św. zapowiadany przez wieszczów i filozofów polskich stał się nie tylko koniecznością szukającego syntezy myśliciela, ani fantazją poety, ale żywą wiarą, mającą moc wykonywania „kształtów trzecich“.

Pracy ich cichej, przyszłościowej, obcej wszelkiej hałaśliwej reklamie i propagandzie, powinien przyjrzeć się każdy utraciwy, szukający nowych w Polsce dróg człowiek, zbliżyć się też winni przedstawiciele K. Narod. po radę, po pomoc, po natchnienie, bo tylko skoordynowanie najwyższych w Polsce wartości pozwoli nam wyjść z bagna reakcji i kompromisu i zobaczyć dalekie perspektywy idei.

OLD FELLOW

DROGI ROZWOJU POLSKIEJ POLITYKI ZAGRANICZNEJ

Geograficzne położenie Polski już zgóry określa kierunek jej polityki zagranicznej. Wciśnięta między dwa wrogie wobec niej mocarstwa, odcięta od bezpośredniego dostępu do portów Bałtyku, Morza Czarnego i Adryatyku, Polska musi oprzeć się o cały system sojuszków politycznych, któreby ją wynagrodziły za to, czego pozbawilo ją nieszczęśliwe położenie geograficzne.

Sojusze polityczne Polski muszą służyć dwóm celom: osłabieniu niebezpieczeństwa rosyjskiego i niemieckiego oraz zapewnieniu Polsce dostępu do morza.

Niebezpieczeństwo rosyjskie wypływa z faktu, że olbrzymia część Rosjan nie pogodziła się z utratą byłych „kresów“ byłego caratu i rości sobie pretensje do ziem, które się wyzwoliły z pod panowania Rosji na skutek jej przegranej w wojnie światowej. Tendencje restytucyjne, odwetowe t. zw. „przyszłej“ Rosji grożą nie tylko Polsce, ale również wszystkim państwom bałtyckim (Finlandji, Estonji, Łotwie i Litwie), Rumunii (ze względu na Besarabję) i poniekąd Turcji. Stąd wniosek, że Polska powinna dążyć do zbliżenia i sojuszu ze wszystkimi temi państwami w imię wspólnych interesów obrony granic.

Polska weszła już szczęśliwie na tę drogę, ale jest zaledwie u jej początków. Związek bałtycki z oparciem o Polskę wciąż jeszcze jest projektem niezrealizowanym, jakkolwiek początkowy zacięty spór przeciwko niemu Narodowej demokracji został przełamany i dziś niema właściwie w społeczeństwie polskim przeciwników zasadniczych tej idei. Niestety, dopóki sprawa uregulowania stosunków polsko-litewskich nie zostanie ostatecznie załatwiona, nie może być mowy o realizacji związku bałtyckiego w całej pełni. Tym bardziej też należy dążyć do zawarcia ścisłych związków Polski z Finlandją, Estonją i Łotwą. Co do Estonji, to nic nie stoi temu na przeszkodzie, gdyż nie mamy żadnych absolutnie kwestyj spornych z tym państwem, usposobionym dla Polski bardzo przychylnie i rozumiejącym całą doniosłość tak sojuszu z Polską, jak i związku bałtyckiego. W Finlandji część społeczeństwa jest nieprzychylnie usposobiona dla sojuszu z Polską, znać też tam antypolski wpływ niemiecki. Nie mniej jednakże przy użyciu pewnego wysiłku dałoby się i Finlandję pozyskać dla dzieła wspólnej obrony przed niebezpieczeństwem rosyjskim. Nic też nie stoi na przeszkodzie sojuszowi polsko-łotewskiemu, gdyż sprawa rozgraniczenia w pow. iłkusztańskim wraz z kwestją mniejszości polskiej Inflant da się uregulować polubownie bez większych ofiar. Układy Polski z Finlandją, Estonją i Łotwą, doprowadzone do pomyślnego wyniku, mogłyby do pewnego stopnia oddziaływać i na Litwę.

Kwestja stosunków polsko-litewskich stanęła na martwym punkcie. Wszystkie próby uregulowania tych stosunków łącznie z kwestją Wilna i Wileńszczyzny spełzły na niczem. Litwa Kowieńska zajęła wobec Polski stanowisko bezwzględnie wrogie i wmawia w siebie oraz w cały świat, że znajduje się „w stanie wojny“ z Polską. W polityce Kowna obecnie mają wpływ przeważny czynniki, służące interesom Niemiec i Rosji, wysługujące się Anglii i każdemu, kto tylko może być uważany za siłę przeciwpolską. Sytuacja ta dla interesów Polski jest nad wyraz niekorzystną. Nie z powodu siły faktycznej, jaką „nieprzyjaciół“ litewski reprezentuje, lecz ze względu na położenie geograficzne Litwy kowieńskiej. Stanowi ona bowiem pomost między Prusami Wschod-

niemi a Rosją, przedzielony wązkim korytarzem wileńskim. Jako sojuszniczka naszych wrogów — Rosji i Niemiec — Litwa może się łatwo stać łącznikiem między nimi i odciąć dostęp Polski do jej sojuszników bałtyckich — przedewszystkiem Łotwy. Stąd konieczność użycia wszelkich środków dla usunięcia niebezpieczeństwa litewskiego, grożącego naszym tyłom na wypadek starcia z Rosją lub z Rosją i Niemcami jednocześnie.

Zapewne, zadanie to nie należy do najłatwiejszych, nie mniej jednakże musi być ono rozstrzygnięte w drodze zabiegów dyplomatycznych, jeśli nie ma być rozstrzygane orężnie w momencie krytycznym.

Południowym przedłużeniem wału obronnego przeciwko zakusom imperjalistycznym Rosji jest Rumunja, z którą jesteśmy w sojuszu. Sojusz ten przedstawia wartość poważną nie tylko ze względu na Rosję, ale również jako czynnik, ułatwiający nam dostęp do Czarnego Morza i jego portów. Porty rumuńskie powinny się stać dla naszego handlu ze Wschodem pierwszorzędnymi podstawami rozwoju. Jednocześnie ułatwią nam one nasze stosunki polityczne z Turcją.

Pokonana, upokorzona i zgębiona Turcja ujawniła olbrzymi zasób sił żywotnych. Nie dała się ostatecznie zniszczyć, a traktat lozański był jej niewątpliwym tryumfem. Dziś Turcja powraca na widowinę polityczną i odegra niewątpliwie bardzo wybitną rolę w świecie muzułmańskim południowo-wschodniej Europy i Azji. Wypchnięta na krańcowy skrawek Europy, Turcja będzie szukała dróg ekspansji w kierunku na północny wschód. Kaukaz, Krym, Turkiestan, chanaty Azji Środkowej — oto drogi tej ekspansji, a zarazem nieuniknione źródła antagonizmu turecko-rosyjskiego. Dziesiątki milionów ludności muzułmańskiej w Federacji Sowieckiej niewątpliwie będą ulegały (i już ulegają) wpływom Angory i Konstantynopola, stanowiąc ten czynnik słabości Rosji, który Polska może witać z najwyższym zadowoleniem. To też odrodzenie Turcji i jej wpływów państwowych jest dla nas czynnikiem wybitnie pożądanym. Dobrze się też stało, że zawarliśmy wieczysty traktat przyjaźni z Turcją. Teraz chodzi o jego rozszerzenie i pogłębienie. I to musi się stać jednym z ważniejszych zadań dyplomacji polskiej.

Ale niebezpieczeństwo rosyjskie grozi nam nie tylko od frontu. Zagraża nam ono z flanki za pośrednictwem dzisiejszej Litwy Kowieńskiej i od tyłów — z Czechosłowacji.

Sztuczny ten twór jest z jednej strony usobieniem rusofilizmu, z drugiej zaś barjerą między Polską, a jej naturalnym, wypróbowanym i niezawodnym sojusznikiem — Węgrami. Na wypadek starcia z Rosją Czechów zawsze będziemy mieli (w tej czy innej formie) przeciwko so-

bie. To też w interesie Polski jest, żeby Czechosłowacja jaknajdalej leżała od Rosji, aby jej dywersja w Małopolsce Wschodniej miała jaknajmniejsze szanse powodzenia. Sprawa ta wiąże się ściśle z losami Rusi Węgierskiej, zagarniętej przez Czechosłowację. Wkroczenie wojsk rosyjskich do Małopolski Wschodniej da Czechom możność połączenia się z nimi przez Ruś Węgierską — i w interesie Polski leży zapobieżenie temu. Otóż to ostatnie łączy się jaknajściślej ze sprawą wspólnej granicy polsko-węgierskiej.

Wspólna granica Polski i Węgier posiada dla nas, jak zresztą i dla Węgier, olbrzymie znaczenie. Nam daje ochronę tyłów od Czechów, dostęp do Jugosławji, a więc i do portów azjatyckich oraz do wzmocnienia frontu antyrosyjskiego. Niestety, sprawę naszego stosunku do Węgier komplikują do pewnego stopnia stosunki polsko-rumunskie. Między Rumunją, a Węgrami istnieje silny antagonizm i ze względu na Siedmiogród z jego liczną ludnością węgierską i ze względu na Banat Temeszwarski, nie mówiąc już o drobnych skrawkach węgierskiego obszaru etnograficznego, przydzielonego Rumunji. W interesach Polski byłoby załagodzenie tego antagonizmu i doprowadzenie do jakiegoś kompromisu. Sprawa to niezmiernie delikatna i drażliwa i dyplomacja polska podjęłaby się niezmiernie wdzięcznego zadania, występując w roli pośrednika między Węgrami a Rumunją.

Tu godzi się powiedzieć bodaj kilka słów o „Małej Entencie“. Stworzona ona została dzięki zabiegom Czechów i ma gwarantować Czechosłowacji, Jugosławji i Rumunji nietykalność ich granic od strony Węgier. Jest to więc sojusz o charakterze wybitnie antywęgierskim. Już to jedno uniemożliwia Polsce wszelki w niej udział, pomijając już fakt, że nam bynajmniej nie zależy na zachowaniu obecnych granic Czechosłowacji. Całkiem przeciwnie: dla Polski korzystniejszym stokrotnie byłoby graniczenie bezpośrednie z Węgrami i Słowacją niż z Czechosłowacją.

Wobec niebezpieczeństwa rosyjskiego polityka zagraniczna Polski polega na uściśleniu związków z Łotwą, Estonją i Finlandją, na izolowaniu (narusze) Litwy i Czechosłowacji i na wzmocnieniu sojuszu polsko-rumuńskiego przez sojusz polsko-węgierski i polsko-turecki. Baczne śledzenie tego, co się dzieje na Białej Rusi i Ukrainie sowieckiej oraz wśród „samookreślających się“ ludów Federacji Sowieckiej jest oczywiście tak samo konieczne, jak ustawiczny kontakt ze wschodnimi antagonistami Rosji — Japonją i Chinami.

Niebezpieczeństwo niemieckie jest dla Polski równie groźne ze względu na odwetowe tendencje Prus, ze względu na sąsiedztwo z Litwą Kowieńską Prus Wschodnich, na nieuregulowaną sprawę Gdańska i wąski przesmyk Pomorza. Niemcy są państwem, znaj-

dującym się w stanie antagonizmu nie tylko wobec Polski, ale również i w stosunku do Francji. Nasz sojusz z tą ostatnią daje nam pewne gwarancje, jeżeli nie bezpieczeństwa, to w każdym razie poważnych szans powodzenia w razie walki z napastnikami niemieckimi. Pożądanym byłoby uzupełnienie naszego sojuszu z Francją sojuszem polsko-belgijskim. Nie należałoby też niczego zaniedbywać, aby pozyskać pewne gwarancje ze strony Anglii. Na Czechów w prawdopodobnej walce z Niemcami liczyć nie możemy. Wogóle cnoty wojskowe narodu czeskiego stanowią wielkość zagadkową. Pozatym i wojsko i państwo czeskie tak jest przesiąknięte żywiołem niemieckim, że na wypadek wojny z Niemcami można się raczej spodziewać, neutralności Czech. Zresztą pułki Niemców czeskich pewnie odegrałyby w tej wojnie tę samą rolę, co czeskie pułki wobec Austrii w latach 1914-1916.

Wszystko to, co powinno kierować polską polityką zagraniczną ze względu na niebezpieczeństwo rosyjskie i niemieckie, osłabia jednocześnie i drugi czynnik ujemny naszego położenia geograficznego — brak bezpośredniego dostępu do morza. Związek bałtycki i uregulowanie sprawy Litwy daje nam wyjście na morze Bałtyckie, sojusz z Rumunją i Turcją — na morze Czarne, bezpośrednia granica z Węgrami i dostęp przez nie do Jugosławji — na Adriatyk i morze Śródziemne.

F. BIERKIEWICZ

O TRUDNOŚCIACH RZECZY PROSTYCH

W poprzednim artykule wskazaliśmy na niebezpieczeństwo wszelkich nazbyt oryginalnych i sztucznych koncepcyj sanacji naszego skarbu i stwierdziliśmy, iż środki uzdrawiające są proste: przerwanie emisji poprzez usunięcie deficytu budżetowego za pomocą odpowiedniego podniesienia podatków i opłat, oszczędności, względnie, jeśli by dało się je uzyskać, pożyczki zagraniczne. Bylibyśmy wobec czytelników nie w porządku, gdybyśmy nie omówili trudności nastroczających się przy próbach zastosowania tych „prostych“ środków.

A są one wielkie, o tyle nawet wielkie, że jedna z najpoważniejszych głów jednego z rządzących obecnie stronnictw — p. Byrka, w moim wygłoszonej po exposé p. Lindego, wypowiedział w imieniu tego stronnictwa w wysokim stopniu niepokojące twierdzenie, że z marką polską budżetu równoważyć nie można, chyba że zajdą jakieś nad-

zwyczajne okoliczności w rodzaju pożyczki zagranicznej, czy też realizacji części majątku narodowego. Jeżeli weźmiemy pod uwagę, że zrównoważenie budżetu państwowego w marce polskiej, musi być przedwstępnym krokiem do wprowadzenia złotego polskiego, dojść będziemy musieli do wniosku, wierząc p. Byrce, że grozi nam katastrofa, o ile zagranica nie uratuje nas przez udzielenie odpowiedniej pożyczki.

Jesteśmy mniej pesymistami niż p. Byrka, a raczej pesymizm nasz tyczy się nie tyle możliwości zrównoważenia budżetu, ile patriotyzmu i zdolności do ofiar naszych warstw posiadających. Tych trudności, jako powszechnie znanych, omawiać jednak nie będziemy. Zastanowimy się natomiast nad trudnościami, które natchnęły p. Byrkę tak beznadziejnym pesymizmem.

P. Byrka formułuje je w sposób bardzo prosty: dochody podążają zwykle za wydatkami.

Te ostatnie robią skoki większe i dlatego wytwarza się system dopędzania.

Pogłębijmy, a później uzupełnimy to sformułowanie.

Jakim jest podłoże faktu szybszego podnoszenia się wydatków od dochodów?

Wydatki państwa dostosowywać się muszą do wzrostu drożyzny. Natomiast dochody państwowe wpływają do kas państwowych, conajmniej w kilka miesięcy po ich wyznaczeniu, a zatem wpływają już w walucie zdeprecjonowanej. Tak wielkie opóźnienie dokonywa się dlatego, że po 1) płatnicy zwlekają z zapłatą aż do ostatniej chwili, aby zapłacić możliwie mniej w przeliczeniu na waluty pełnowartościowe, po 2) szwankuje technika obliczania i przesyłania osiągniętych sum, wskutek czego ściągnięte już podatki leżą nieprodukcyjnie w kasach prowincjonalnych, powodując konieczność pokrywania niezbędnych wydatków przez odpowiednie powiększenie emisji. Skutki tego opóźnienia mogą być usunięte przez stabilizację podatków za pomocą zastosowania odpowiednich wskaźników, przez wyznaczenie odpowiednich wielkich kar za wżłokę i przez ulepszenie techniki ściągania i przesyłania spłaconych podatków. Na drogę stabilizacji podatków wkroczył p. Grabski, wprowadzając t. zw. „złoty polski rachunkowy“. Koncepcja w zasadzie słuszna i logicznie zbudowana w praktyce dała, jak wiemy ujemne rezultaty, dzięki połączeniu jej z drugą koncepcją stopniowego zmniejszania deficytu budżetowego w ciągu trzech lat. Tu bowiem p. Grabski, świadomie czy nieświadomie, pominął wpływ całego szeregu czynników występujących przy uprawianiu emisji bez względu na jej wielkość. Ucieczka od marki nie utrzymuje się w ramach określonych wielkością deficytów budżetowych pokry-

wanych emisją. Wykracza ona z reguły poza te ramy. Jedną z najgłębszych i najtrwalszych cech ludzi jest to, że tak samo nie chcą oni tracić mało jak i wiele. Nie chcą nic tracić! Co więcej! Chcą zyskiwać! Konsekwencją tej naturalnej cechy ludzkiej jest, że waluty pełnowartościowe, akcje i inne wartości realne są poszukiwane dla celów tezauryzacyjnych nie tylko wówczas, gdy budżet przewiduje 70% dochodów, lecz i wtedy gdy przewiduje ich 30% lub 50%, przyczem waluty pełnowartościowe, jako najpewniejsza lokata, są poszukiwane w pierwszym rzędzie. Wielkość zapotrzebowania walut pełnowartościowych i innych walorów dla celów tezauryzacyjnych, a tym samym i wysokość ich kursów, zależy zatem normalnie przede wszystkim od ilości swobodnej w danym momencie gotowizny w markach. Waluty obce pełnowartościowe i inne walory pojawiają się w podaży przeważnie wówczas tylko, gdy ich posiadacze zmuszeni są do wypłat markowych, lub też gdy widzą korzyść w zamianie posiadanych walorów na inne. Przy długotrwałym uprawianiu emisji kursy pełnowartościowych walut obcych z reguły idą na przód, pociągając za sobą ceny i płace, a tym samym i wydatki państwowe.

Fakt przodowania kursów pełnowartościowych walut obcych ułatwia przerzucanie nałożonych podatków w postaci odpowiedniego podnoszenia cen, zmuszając tym samym państwo do zwrotu tych nałożonych podatków w postaci nowej zwiększonej fali emisji. Opodatkowanie, jeśli jest niedostateczne i nie pozwala na przerwanie emisji, przestaje zatem oddziaływać uzdrawiająco. Zwiększa z jednej strony tempo wzrostu cen, z drugiej zaś strony (jeśli opłaty podatkowe wypadają w okresach nadmiernie podciągniętych w górę kursów walut obcych) wywołuje niejednokrotnie przejściowy kryzys gospodarczy, na tle braku środków płatniczych.

Zastanówmy się nieco nad istotą tego braku.

Powstaje on dla tego, że cała ilość emitowanych marek znajduje się w bardzo szybkim obiegu, przerzucana z rąk do rąk, przyczem wartość jej każdorazowa dopasowuje się mniej więcej do wartości dóbr materialnych i wszelkiego rodzaju walorów znajdujących się w obiegu. W tym układzie stosunków jedynym źródłem niezbędnego, dla funkcjonowania przemysłu i handlu, kredytu stać się musiała P.K.K.P. W tym układzie stosunków wydatniejsze podniesienie opodatkowania, chociażby było bardzo dalekie od opodatkowania państw o unormowanej walucie, o ile nie mogłoby być odrazu przerzucone na konsumentów w formie podniesienia cen, odczute będzie zawsze przez producentów, jako nadmierne i przerastające ich zdolność płatniczą. Opór przeciwko wysokiemu opodatkowaniu, jako przerastającemu zdolność płatniczą pociąganych do świadczeń obywateli, znajdował swe pozorne uzasad-

nienie w bijącym w oczy fakcie, że nasz, w przeliczeniu na dolary, bardzo skromny budżet państwa, przekracza kilkakrotnie przeliczoną na też same dolary wartość marek będących w obiegu. Fakt ten spowodował swego czasu naradę b. ministrów skarbu, do wydania wątpliwego orzeczenia, iż bez dalszej emisji wykonanie budżetu jest wogóle niemożliwe. Nic dziwnego, że w tych warunkach myśl naszych ministrów skarbu skierowała się ku zagadnieniu utrzymania kursów walut na pewnym określonym poziomie przy dalszym uprawieniu emisji, aż do momentu, gdy akcja oszczędnościowa i stopniowe podwyższanie podatków i opłat, umożliwiłyby jej przerwanie.

Za czasów gabinetu Sikorskiego myśl ta wyraziła się w bezpłodnej akcji interwencyjnej; za czasów rządu obecnego w radykalnych, bijących życie gospodarcze rozporządzeniach o ujęciu wszystkich walut z eksportu na rzecz państwa, zamknięciu giełdy i t. p. Rozporządzenia te nie mogły być przez czas dłuższy utrzymane. Zdecydowano się zmodyfikować je, nie rezygnując jednak na razie z częściowego przynajmniej ściągania walut obcych uzyskiwanych z eksportu.

Jesteśmy zdania, że wszelkie sztuczne środki zmierzające do ograniczenia i powstrzymywania naturalnych procesów nie prowadzą do celu. Uniemożliwianie zakupu walut obcych dla celów tezauryzacyjnych zmieniłoby tylko kierunek ucieczki od marki. Środkiem zabezpieczenia stałyby się wówczas akcje i towary. Mielibyśmy do czynienia już z realnym, a nie tylko nominalnym wzrostem cen, który to wzrost przy dalszym trwaniu emisji niewątpliwie zahamowałby wywóz i doprowadził do głębokiego, ale bezpłodnego kryzysu gospodarczego. Man'y wrażenie, że liczyć na osiągnięcie stabilizacji marki drogą stopniowego powolnego podnoszenia podatków i oszczędności, przy sztucznym ograniczeniu wzrostu kursu walut obcych, już nie możemy, aczkolwiek niewątpliwie droga taka byłaby najdogodniejszą i pozwoliłaby na uniknięcie silniejszych wstrząsów gospodarczych. Pożyczka zagraniczna udzielona Austrii pod auspicjami Rady Ligi narodów, pozwoliła jej na pójście tą właśnie drogą. Dla nas, o ile nie dostaniemy większej pożyczki zagranicznej, pozostanie tylko jedna możliwość, świadomego przejścia przez kryzys gospodarczy, t. j. wyznaczenie *stabilizowanych* podatków i opłat odpowiednio do najbardziej ograniczonych potrzeb, ale bez względu na pozorną trudność ich ściągnięcia. Tylko także podniesienie stabilizowanych podatków i opłat, które dałoby gwarancję usunięcia deficytu budżetowego i przerwania emisji na cele skarbowe umożliwiłoby powstrzymanie dalszego spadku marki. Ucieczka od marki ma również podłoże psychologiczne.

Pewność, iż emisja zostanie przerwana, zahamowałaby ten proces (okres Michalskiego, doświadczenie austrijackie), a zrozumienie, iż

wartość kursowa naszej waluty jest znacznie niższą od tej, jaką winna ona posiadać, musiałoby wywołać silny ruch w kierunku wyzbywania się walut obcych i spowodowałoby spadek ich kursu. Spadek kursu walut obcych, jakoteż silny brak środków płatniczych spowodowany koniecznością wielkich wypłat na rzecz państwa musiałby wywołać również i spadek cen i kryzys gospodarczy. Złagodzenie tego kryzysu za pomocą bardzo szerokiej akcji kredytowej skierowanej ku równomiernej niżce cen, byłoby koniecznością. Emisja i tu zatem nie odrazu zostałaby przerwana. Inflacja na cele skarbowe przesłaby narazie w inflację kredytową, zdaniem naszym, daleko mniej szkodliwą i nie oddziałującą na wzrost kursów walut obcych, (oprócz tego wypadku gdy odbywa się jednocześnie z inflacją na cele skarbowe). Szeroko, ale umiejętnie stosowana akcja kredytowa umożliwiłaby rozwiązanie tak pozornie trudnego problemu, jak wykonanie budżetu przerastającego kilkakrotnie wartość banknotów znajdujących się w obiegu i stworzyłaby warunki dla stopniowej należycie obmyślanej akcji oszczędnościowej.

Niestety program podatkowy p. Grabskiego łącznie z podatkiem majątkowym został już przez Sejm w formie poszczególnych ustaw zatwierdzony i o dalszym podniesieniu uchwalonych podatków i opłat nie może być narazie mowy. Wątpliwe jest, czy udałoby się nawet, wobec istniejącego podatku majątkowego, przeprowadzić poważniejsze podniesienie opodatkowania w roku przyszłym. Ponieważ akcja oszczędnościowa wydać może narazie nikłe tylko rezultaty, liczyć się zatem musimy, o ile nie zajdą okoliczności nadzwyczajne (pożyczka zagraniczna), z dalszym spadkiem marki. Liczyć się jednak musimy i z pewnym okresem bardziej powolnego deprecjonowania się naszej waluty, wobec pojawienia się nowego bardzo poważnego czynnika, pchającego kurs marki polskiej w górę. Mówimy o gwałtownym popycie, jaki ujawnił się na nią w Niemczech w związku z katastrofą walutową. Wobec trudności, a nawet niemożliwości dla szerokich, najbardziej potrzebujących sfer zabezpieczenia swych oszczędności przez kupnowalut pełnowartościowych i akcji, rzuciły się one na kupno marek polskich, forsując tym samym kurs ich w górę ponad miarę, jaką wskazywałaby sytuacja wewnętrzna w Polsce. Tym się pośrednio tłumaczy utrzymywanie się kursu marki w ostatnim czasie na giełdach szwajcarskich i innych na jednym mniej więcej poziomie. Nic narazie nie zapowiada, byśmy przerwę tę należycie wykorzystali. A sytuacja może uleść gwałtownemu pogorszeniu, gdy pod wpływem opanowania położenia w Niemczech, skupywane obecnie masowo przez dziurę gdańską marki polskie, zostaną również masowo rzucone na rynek, w celu wymiany na waluty pełnowartościowe. Wówczas możemy zapłacić za tę chwilę oddechu nowym gwałtownym paroksyzmem choroby.

Tym konieczniejsze jest zrozumienie tej prawdy, że drogą reformy ewolucyjnej iść już nie możemy i że decydując się na ciężki kryzys gospodarczy, podnieść musimy znacznie już uchwalone podatki i opłaty, stabilizując je przez zastosowanie odpowiednich wskaźników.

BR. ST.

W ODPOWIEDZI POSŁOWI NIEDZIAŁKOWSKIEMU — I DAL-
SZYCH KILKA UWAG O P. P. S.

Z prawdziwą przyjemnością przeczytałem odpowiedź p. posła M. Niedziałkowskiego na moich kilka skromnych uwag o stanie działalności P. P. S. w okresie ostatnich 5 lat. Pan poseł odpowiedź swoją zatytułował „Trochę dziwaczne nieporozumienie”. Zupełnie się z tym zgadzam, jeśli idzie o odpowiedź na moje „uwagi”, albowiem w całej swojej odpowiedzi unika p. Niedziałkowski zetknięcia się z istotą rzeczy zawartą w moich uwagach.

Niewymownie jestem rad, że właśnie poseł Niedziałkowski zabiera głos, reprezentant młodego pokolenia P. P. S-u. Zanim jednak przytoczę kilka nowych uwag — pozwoli Obywatel Poseł zwrócić swoją uwagę na kilka wyjaśnień.

Jeżelim ja „niedostatecznie przemyślał własny artykuł”, jeżeli „niewiele nowych pomysłów wniosły moje Uwagi do skarbnicy naszych rozmyślań i doświadczeń” — to dlaczego p. Niedziałkowski poziom wszczętej przezemnie dyskusji, niezbyt zapewne wysoki, jeszcze tak bardzo obniżył?

Wszędzie na świecie socjalizm wobec nowych warunków politycznych i społecznych kontroluje każdy swój krok, szuka nowych podstaw, rewiduje program działania. W Polsce powodów do takiej rewizji i krytyki jest jeszcze więcej niż gdzie indziej. Czemuż więc pierwszy — o ile wiem — głos krytyczny zbywać oświadczeniem w rodzaju tego, że „nie odrazu Kraków zbudowano” lub pociechą, że gdzieś tam dziewczyna „grabiąc siano nuci zwrotkę Czerwonego sztandaru”. I czemuż na Radzie Nacz. uchwalić klauzję jakąś przeciw tym, którzy w wypowiedzaniu poglądów chcieliby być mniej skrupowanymi.

Przyznaję, że w krytyce nie szedłem zbyt głęboko. Ale nawet te moje przykłady „o skali bardzo szerokiej” dać mogły temat do rozważań. Owo tak przez p. Niedziałkowskiego wyśmiewane zwiniecie

filiji księgarni w Lubińie był to przykład na nieumiejętność organizowania podstaw gospodarczych partji, niezbędnych dla pracy w nowych warunkach. Zamknięcie pisma chłopskiego ilustrowało brak zrozumienia wagi ruchu na wsi. „Teoretyczne i jałowe dyskusje“ miały stanowić przykład na złą metodę wychowywania działaczy, którzy winni przede wszystkim w praktycznej pracy wyrabiać charaktery i zdolności działania. I t. d.

Nie o to również mi chodziło ilu P. P. Sowców płaci podatek. Tym przytoczonym przykładem pragnąłem zaznaczyć, że uchwały kongresów widocznie nie są obowiązujące, co oznaczałoby rozluźnienie dyscypliny partyjnej; lub może zanik u ogółu członków poczucia w spełnianiu wziętych na siebie obowiązków.

Zapytuje Pan Poseł: „Czy jednak istotnie jesteśmy wszyscy miernotami na czołowych stanowiskach”? Odpowiem pytaniem: A czyście w ciągu tych ostatnich lat zrobili coś godnego rewolucyjnej tradycji P. P. S. — nie koniecznie w znaczeniu bojowym, ale społecznym i politycznym? Jeśli czynem tym ma być walka z komunizmem? to trochę zamało.

Był jeden moment historyczny, w którym P. P. S. miała odegrać wielką i zdecydowaną rolę, ale nie został on wyzyskany należycie. Dzięki jednemu komuniście, p. Sochackiemu, który wkręcił się na generalnego sekretarza P. P. S. i pełnił funkcję podczas inwazji bolszewickiej, nie została wprowadzona cała ideologia P. P. S. — a jednak zachwiali się niektórzy P. P. S-owcy i całe stronnictwo uczuło się zmuszone do „ostrożności“ i do nie angażowania się zbyt w rządach. Skończyło się więc na daniu tylko zastępcy szefowi Rządu ówczesnego. P. P. S. zdobyła się tylko na decyzję połowiczną — zamiast skonsolidować lewicę społeczną, stanąć na jej czele, ująć faktycznie władzę i wykorzystać zwycięską wojnę na rzecz swego programu. Reakcja sama dawała wówczas broń w ręce przeciwko sobie, organizując po odparciu najazdu idyiotyczny zamach stanu—idyiotyczny tym bardziej, że w ostatniej chwili cofnęła się przed jego wykonaniem.

Przyzna kochany poseł, że w momencie tym część „góry“ ppsowskiej była zbyt ostrożna, a właściwie bez inicjatywy i bezradna; część trzymała się jak pijany płotu różnych doktryn, a inna znów grupa szarpała się wewnętrznym bólem, mając ręce związane uchwałami „większości“ i tym stanem rzeczy, jaki w P. P. S. u „góry“ wówczas panował.

Ten moment dał chyba poznać jasno: czym i którzy ludzie są na czołowych stanowiskach!

Rozumiem, że wszystko to należy do przeszłości, ale daje to wszakże charakterystykę — ludzi w chwilach nadzwyczajnych wypad-

ków — wypadków, z których tworzy się historia — dzieje narodów i ludzkości.

Gdyby ten historyczny moment lepiej był wyzyskany przez lewicę społeczną, a w pierwszym rządzie przez P. P. S. to wiele rzeczy w Polsce przedstawiałoby się dziś inaczej i lepiej.

Ale czyny bywają „rozsądne i nierozsądne“ analizuje dalej pan poseł. Śmiem sądzić, że może niegorzej znam historję P. P. S-u od pana posła Niedziałkowskiego i — z całą stanowczością twierdzę, że na to, czym się dziś P. P. S. z przeszłości swojej szczyci, złożyły się przeważnie te właśnie „nierozsądne czyny“ tak bezwzględnie krytykowane w one czasy przez „rozsądnych“ partyjników ówczesnych, po których oddawna ani śladu w P. P. S. nie pozostało. Te „nierozsądne“ czyny bywały nieraz sprzeczne z odezwaniami C. K. R., (grudniowa odezwa C. K. R. 1905 roku i akcja bojowa), ale one to, stanowią tę chlubną, rewolucyjną, — co prawda zbryzganą krwią robociarzy inteligentów ginących od kul i na szubienicach, — kartę historyczną P. P. S-u.

Bardzo często bywa tak, że w „analizowaniu zagadnień“ oraz przykrej — stworzonej warunkami sytuacji, szuka się „rozsądnego“ wyjścia, t. j. takiego, które nie naraża na wysiłek a może i na oberwanie guza, albowiem gdzie drwa robią tam wióry lecą.

I w tym to do pewnego stopnia tkwi powód, że wypadki Was wyprzedzają, że nie jesteście w stanie czasem tak reagować, jakby należało; — zło leży w tym, że zamało czyniono wysiłku dla dokonania rewolucji mózgowej, bez której niemasz nie tylko żadnej rewolucji, ale i żadnego postępu społecznego.

Zupełnie się zgadzam z tym, żeście w r. 1920 ocalili proletarijat od rozbicia i anarchji — od komunizmu. Prawda że w Sejmie wiele pierwszorzędných zdobyczy uzyskaliście dla robotników. Ale nie uczyniliście dalszego wysiłku, by cała klasa robotnicza zdybycze te zrozumiała i twardo sobie przyswoiła.

Odpowiedź posła Niedziałkowskiego poniekąd uprzedza myśl moją, gdy twierdzi, że „by się natrzęsać nad silniejszym nawet przeciwnikiem trzeba posiadać jeszcze sympatje w społeczeństwie“.

A w jaki to sposób zdobywa się sympatje w społeczeństwie?

Pewnie że tylko czynem śmiałym, nie biorącym początku z nudnych akademickich dyskusyj, prowadzonych często z myślą ukłęcia łba każdej sprawie wymagającej takich czy innych wysiłków, a nawet ofiar. Pewnie, że przez zdecydowanie się w momencie odpowiednim może nawet na krok, który przez ludzi słabych duchem i krótkowzrocznych będzie nazwany krokiem „nierozsądnym“! Ale prócz tego trzeba jeszcze urobić w społeczeństwie tak zwaną opinię dla swoich zamie-

rzeń i planów. Tak — zamierzeń i planów, o ile się je ma... I tu przy tworzeniu planów nikt nie jest w stanie orzec co jest „rozsądne“ a co nie „rozsądne“. Można jak to mówią robić nawet historję, a można trwać w letargu, co się w Polsce czasami nazywa „robić opozycję“, lub wykpiwać się od roboty i odpowiedzialności.

Ot na przykład odpowiedz mi pośle kochany, czy przez ostatnich kilka lat P. P. S. nadużyła, jak to zwykł mówić poseł Daszyński, tak zwanej propagandy. Rozejrzawszy się w ilości wydawnictw i gazet, jaką P. P. S. wydała w tym czasie, obliczmy ilość egzemplarzy w stosunku do ogółu mieszkańców Polski i liczby członków P. P. S. a znajdziemy bardzo słabe rezultaty. Czy przeciętnie 10000 egzemplarzy „Robotnika“ dziennie na 50000 członków P. P. S. to liczba wystarczająca?

Przecież najmniej 3 tysiące rozchodzi się między urzędy i ludzi postronnych.

Więc cóż czytają P. P. S-owcy? Może „Expresy“ „Dwugroszówki“—a może nic?

Więc przy pomocy czego zdobywa się sympatję w społeczeństwie i urabia opinię dla swych zamierzeń?

Tu P. P. S. wyręcza częściowo prawica społeczna — swoją głupią polityką, uświadamiając ludzi swojemi czynami! Propaganda dobrze zrozumiana i wykonana wymaga: słowa drukowanego w dość dużej ilości egzemplarzy rozsianych po całym kraju. Tymczasem w P. P. S. właśnie na tym polu robi się dziwne jakieś „oszczędności“.

Nic też dziwnego, że człowiekowi stojącemu cokolwiek na ubożu zdaje się iż P. P. S. na tym właśnie polu swej działalności zamarła.

A może znów rozsądek „nakazuje“ tak mało drukować; może Duch Święty lub inny ptak niebieski natchnie i uświadomi szerokie masy proletariatu polskiego, co to jest demokracja, socjalizm, na czym polega dzisiejsza robota reakcji polskiej, którą w jej działaniach ludzie pracy — ludzie wyzyskiwani podtrzymują.

Chcąc mieć sympatję w społeczeństwie trzeba zdobyć opinię dla siebie; opinia prócz czynu wymaga dobrze zorganizowanej i uposażonej propagandy. Utworzenie opinii jest rzeczą pierwszorzędną wagi dla aktywnego działania stronnictw i na ten cel środki przedewszystkiem znaleźć się powinny!

W poprzednich moich uwagach wiele rzeczy pan poseł zauważył, ale jakoś nie dojrzał wzmianki o „Gazecie Chłopskiej“. — Rozumiem — sprawa przykra — prawda.

Ale i tu trzeba z miejsca ruszyć, trzeba dać pieniędzy — trzeba

się o środki postarać, a potem znaleźć ludzi, którzyby umieli nietylko pisać, ale i kolportować. — Ba, ale to znów wysiłek.

Prawda?

Jednak — Obywatelu Pośle — bez Gazety Chłopskiej nic na wsi nie zrobicie i choćby Wasi posłowie pochrypli na wiecach — rady sobie nie dacie!

Więc z chwilą, kiedy wydawnictwo wznowicie, deklaruję się skromną co prawda sumką, na więcej mię nie stać, bo tylko 200 tysiącami miesięcznie z mnożnikiem drożyznianym. Propaganda jest dziś dla Was pierwszorzędną rzeczą — masy czekają na Dobrą Waszą Nowinę.

Pytasz pośle czy ja Wam pomogę? Dużo takich jak ja stanie do szeregu. Ale decydujcie się na krok stanowczy, pokażcie jasny plan a przede wszystkim niech młoda generacja P. P. S. wykaże większą energję, więcej czynu — rozszerzy swoje horyzonty polityczne. Wtedy stanę przy Was nie tylko ja jeden, staną legiony całe.

A idą nowe ciężkie czasy — zbliżają się dni wielkiego wysiłku, wielkich zapasów między reakcją i demokracją. Losy i zwycięstwo demokracji w tej walce leży w rękach P. P. S.! Wiele rzeczy zależy od tego czy P. P. S. ocknie się i wzniesie wysoko swój świetny sztandar. Chwile te są tuż, przed nami, Szanowny Pośle!

TOMASZ GRUDA

POBRATYMSTWO, — UWAGI NA TLE SPORU POLSKO-CZESKIEGO (LIST Z PRAGI)

Wśród komunałów i słów bez treści, które bezustannie wprowadzają nas w błąd, jedno z najpocześniejszych miejsc zajmuje słowo „pobratymstwo“.

Używamy tego słowa stale, gdy chodzi o Czechów, czasem określa nim sprawy nie posiadające realnej treści, gdy mowa o Słowianach dalekich, a w uroczystych chwilach pobłądzeń politycznych niektórzy nasi politycy mówili o pobratymstwie... polsko-rosyjskim. Właśnie perypetje pobratymstwa polsko-rosyjskiego powinny pobudzić nas do zastanowienia się, czy wszystkie inne pobratymstwa są warte tyle, co rosyjsko-polskie.

W chwili kiedy carat skazał nas na zagładę, istniało małe słowiańskie Rosjan, którzy byli nam naprawdę braćmi, ale była to tak szczupła gromadka, że mówić o pobratymstwie polsko-rosyjskim dla tej szczupłej garstki ludzi — byłoby conajmniej śmiesznem.

Wśród Czechów jest bardzo wielu takich, którzy pobratymstwo słowiańskie mają nie tylko na ustach, ale i w sercu. Tylko że mają swoje zastrzeżenia co do tego, kiedy i w jakich warunkach Słowianie kochać się mogą wzajemnie. Zastrzeżenia te zależne są od ról, jakie słowianofilstwo czeskie przypisuje pewnym narodom słowiańskim. Trzeba odrazu zaznaczyć, że dla niektórych ugrupowań czeskich słowianofilstwo jest równoznaczne z rusofilstwem. Małemu liczebnie narodowi czeskiemu imponuje liczba Rosjan i ogrom ich państwa. Na początku dziewiętnastego stulecia, gdy po dwudziestoletnim letargu naród czeski budził się do nowego życia narodowego i politycznego, oko jego padło przede wszystkim na Rosję, jako jedyne słowiańskie pobratymca, od którego można było spodziewać się pomocy w ciężkiej walce z zachłannym i groźnym germanizmem. Ten sentyment pozostał. Nie zrażało Czechów to, że ów starszy brat słowiański gnębił młodszego brata Polaka, zaprzysięgając mu zagładę. Niebezpieczeństwo germańskie istniało i istnieje dla Czechów, a w większości umysłów czeskich jedynym *antidotum* na tę obawę jest silna Rosja. Jej oddaje się przywództwo w świecie słowiańskim i karny naród czeski żąda nie tylko od siebie, ale od wszystkich wogóle narodów słowiańskich posłuchu i podporządkowania się Rosji.

Tak przedstawiała się sprawa na początku minionego stulecia i taką jest dla narodowych demokratów czeskich, dawnych młodoczechów, których wodzem jest Kramarz. Od tego czasu oczywiście życie czeskie zróżnicowało się potężnie i obok patriotycznych młodoczechów i staroczechów istnieje wielkie mnóstwo partij opartych nie na sentymencie, ale na interesie społecznym i politycznym. Te odmienne interesy poszczególnych grup polityczno-społecznych nie zmieniają stanowiska słowianofilskiego względnie rusofilskiego, ale je odpowiednio modyfikują. Modyfikacje są nieznaczne i pomimo nich nade wszystkim dominuje dość bezkrytyczne uwielbienie dla Rosji, jakiegokolwiek. Narodowi demokraci najchętniej widzieliby zmartwychwstanie Rosji carskiej, ale i dzisiejsza Rosja ma bizantyjskich czcicieli wśród Czechów, mianowicie w komunistach i dużej części socjalnych demokratów. Narodowi socjaliści, będący czymś pośrednim między narodową demokracją a socjalnymi demokratami, odnoszą się do Rosji także z dużym sentymentem. To samo powiedzieć można o agrarjuszach i o partji katolickiej. Partje te przy różnolitości interesów mogą się kłócić między sobą, ale są zgodne i pojednane, gdy chodzi o kult dla Rosji.

Z tego wynika dość jasno charakter pobratymstwa czeskiego, gdy chodzi o Polskę. Najszczęśliwym było bodaj to pobratymstwo w czasach przedwojennych, gdy w Warszawie siedzieli generał-gubernatorzy rosyjscy i gdy małoduszności czeskiej i małoduszności polskiej śnił się szczyt szczęścia narodowego w postaci autonomji politycznej. Czesi marzyli, że byłoby szczęściem dostać się nawet pod hegemonję rosyjską, byle nie trzeba było drzeć bezustannie przed widmem zagłady. Dlatego to podejmowali tyle usiłowań pogodzenia Polaków z Rosjanami. Z jednej strony namawiało się Polaków do zrezygnowania z pewnych ideałów politycznych, z drugiej prosiło się Rosjan o jakie takie koncesje dla Polaków. Nie można niestety powiedzieć, aby się Czechom nie było udało wybankietować na Polakach znacznych ustępstw na rzecz Rosji. Neosłowianofilstwo naszych kramarzowców było tego dowodem.

Rezygnować na rzecz Rosji, to ideał narodowej demokracji czeskiej. Narodowi demokraci czescy to kapitaliści, fabrykanci, kupcy, którzy poza sielanką „wzajemności słowiańskiej“ widzą jeszcze wielki rynek dla produktów swego przemysłu. Ta strona sentymentu nie jest obcą także masom robotniczym z różnych partij politycznych. Robotnicy czescy, którzy cierpią wielki niedostatek skutkiem stagnacji przemysłowej, wierzą, że skończy się to w tej samej chwili, gdy dla przemysłu czechosłowackiego otworzy się niezmierny rynek rosyjski. Będą zarobki wysokie i będzie żywności w bród, bo Rosja dostarczy wszystkiego wzamian za wytwory przemysłowe.

Polska jest uważana zarówno przez przemysłowców czeskich jak i przez szerokie rzesze robotników za zaporę, odgradzającą Czechosłowację od źródła wszelkiego możliwego szczęścia. Po pierwsze — marzą Czesi — przy wspólności granicy rosyjsko-czeskiej wojska rosyjskie byłyby na każde zawołanie do dyspozycji Czechów wrazie zatargu z Niemcami, po wtóre do Rosji wywoziłoby się wytwory przemysłu czeskiego, a wzamian otrzymywałoby się zboże, bydło, surowce. Miałoby się z łytułu słowiańskości oczywiście wielkie pierwszeństwo przed każdym innym przemysłem i porastałoby się w pierze. Perspektywa tego snu o potęgę jest taka rozległa, że koniec jej gubi się w jakimś zachwycającym błękiecie.

Miedzy Eldorado rosyjskie a Czechosłowację wsunęła się Polska. Ten sam fakt mówi aż nadto wyraźnie i niedwuznacznie odpowiada na pytanie czy pobratymcy czescy mogą nas lubić. Od chwili powstania obu państw sąsiednich mieliśmy dość dowodów, że rozbieżność interesów tych państw i narodów czyni pobratymstwo ogromnie iluzorycznym.

Spór o Cieszyńskie przybierał chwilami postać zatargu bardzo

ostrego właśnie na tle świadomości czeskiej, że Polska jest wałem, odgradzającym Czechosłowację od Wschodu i na tle świadomości polskiej, że pobratymiec czeski gotów uczynić wszystko, aby ten wał zniszczyć, a przynajmniej unieszkodliwić dla siebie. Jeszcze jaskrawiej zarysowało się „pobratymstwo“ czeskie w chwili najazdu bolszewickiego. W miarę jak niebezpieczeństwo rosło, pisma czeskie odrzucały wszelkie resztki względów przyzwoitości i wypowiadały się o Polsce tak, jak się wypowiada o czymś, co przestaje istnieć. Natomiast dla Rosji miały gazety czeskie słowa najgorętszej przyjaźni, jako dla przewidywanego bezpośredniego sąsiada. Wyobrażano sobie w Czechach, że najazd bolszewicki przywróci stan terytorjalny z przed wojny. Radości nie tajono. Neutralność czeska polegała na tem, że nie puszczano do nas amunicji i broni, a ponieważ urzędowo czynić tego nie można było bez narażania się koalicji, osobliwie Francuzom, przeto robotnicy czescy zatrzymywali pociągi z amunicją i nie puszczali ich do Polski.

Sprawa cieszyńska została rozstrzygnięta właśnie w chwili, gdy wszystkie nasze wysiłki skierowane były na wschód. Ogół czeski przyjął rozstrzygnięcie jako akt krzywdy popełniony... na narodzie czeskim. Najwięcej hałasu było z tego powodu w obozie narodowych demokratów, którzy rozstrzygnięcie gotowi są dotąd uważać za tymczasowe i nieostateczne. Wyłoniła się i zaktualizowała obecnie sprawa Jaworzyny. Sprawa ta roznamiętnia opinię czeską dość żywo. Prasa czeska jest naogół dość zdyscyplinowana i kieruje się wskazówkami otrzymanymi z odpowiednich ministerjów, ale pomimo to czasem wymknie się jej coś, co daje poznać istotę pobratymstwa w całej pełni. Prawie cała prasa czeska nie tała uczuć rozczarowania na wieść, że wschodnie granice nasze zostały uznane przez wielkie mocarstwa i pocieszała się tylko tym, że za utrzymanie tych granic mocarstwa nie wzięły na siebie żadnych gwarancyj i że Polska sama bronić ich będzie musiała, gdy przyszła Rosja upomni się o „swoje dziedzictwo“, — jak się Czesi wyrażać lubią.

Niema poprostu ani jednego ugrupowania czeskiego, na którym pobratymstwo bez zastrzeżeń oprzećby się mogło. Dla socjalnych demokratów jesteśmy społeczeństwem klerykańnym i szlachetkowym, nawet socjalizm polski jest dla nich socjal-patryotyzmem. Komuniści czescy gotowi poświęcić nas dla Rosji współczesnej, narodowi demokraci i narodowi socjaliści dla Rosji jutrzejszej. Katolicka partja ludowa, która mogłaby mieć naturalne sympatje dla Polski katolickiej, miała się jak opętana na wieść o tem, że Małopolska Wschodnia pozostaje przy Polsce i nie zostanie od niej oderwana, jak sobie tego katolickie stronnictwo gorąco życzyło. Nawet pisma niemieckie, — które zrazu stały po stronie Polaków i niejako z zasady opozycyjnej nie chciały

togo, czego chcieli Czesi, — dzisiaj podzielają stanowisko ogółu prasy czeskiej, czyli odnoszą się względem nas nieżyczliwie. Doskonale redagowana „Tribuna“, organ żydów czeskich, był zawsze rezonatorem dążeń ukraińskich i usposobiony był dla Polski nieżyczliwie. Ociążali i nieruchawi agrariusze czescy, którzy kierują się przedewszystkiem interesem realnym i materialnym, a jako producenci rolni mogliby się obawiać konkurencji rolniczej Rosji, ulegają powszechnej sugestji i jeśli nie z miłości, to z bojaźni przed Rosją uprawiają politykę rusofilską, co wychodzi na politykę antypolską.

Najbardziej zdeklarowanych przeciwników mieliśmy zawsze w „Narodnich Listach“, głównym organie narodowej demokracji czeskiej i w „Ceskim Slovie“, organie narodowych socjalistów czeskich, których wodzem jest były minister obrony narodowej, Kłofacz. To są, byli i będą przeciwnicy Polski nie tylko z programu i przekonań, ale i z temperamentu.

Trzeba rzucić okiem wstecz, aby spostrzec, jak mało mamy wspólnego z Czechami, a jak wiele nas dzieli.

W Czechach już w wieku czternastym zaczęła się walka o wolność sumienia i niezależność duchową od Rzymu. Śmierć Husa i wojny husyckie to kapitał duchowy, z którego jeszcze ciągle żyje współczesność czeska. Rzym zwyciężył ostatecznie przy pomocy Wiednia i zaczął postępować z buntowniczym narodem czeskim tak, że naród ten omal nie przepłacił zwycięstwa rzymskiego własnym istnieniem. Odtąd w umysłach świadomych Rzym i Wiedeń były ucieleśnieniem żywiołów wrogich dążeniom czeskim. Świadomości tej nie przestawano dawać wyrazu. Najpiękniejszy pomnik czeski wybudowano w Pradze „kacerzowi“ Husowi i postawiono go na tym samym pięknym placu Staromiejskim, na którym stał posąg Madonny, wzniesiony przez Habsburgów dla uczczenia pogromu Czechów na Białej Górze. Pierwszy dzień wolności czeskiej był zarazem ostatnim dniem tego posagu Madonny.

Nienawidząc Rzym i Wiedeń, zwracano oczy ku „świętej Moskwie“, prawosławnej, antypapieskiej — i antyniemieckiej, jak sobie ją chętnie wyobrażano. Ideałem było pogodzić wszystkich Słowian pod egidą Moskwy. Polacy psuli im obraz sielanki. Wprawdzie już Kollar w swej „Córce Sławy“ pogodził Kościuszkę z carycą Katarzyną, kładąc tym uosobieniom przeciwieństw moralnych prowadzić budujące rozmowy, ale ten czyn dezorientacji czeskiej nie zmienił zasadniczo nic w stosunku polsko-rosyjskim. Im cięższy był ucisk moskiewski, tym lepiej czuć się musieli Polacy w zaborze austriackim i nie mieli powodu do prowadzenia tak antiaustriackiej polityki, jaka byłaby na rękę Czechom. Nie rozumieliśmy się i żywiliśmy do siebie żale, których nie uświadamialiśmy sobie należycie. Wzajemne nieporozumienie się pozostało i pozostanie bodaj na bardzo długo. Gdy my dzisiaj zabieramy się do roz-

biórki soboru polityczno - prawosławnego na Saskim Placu, Czesi oburzają się na nas jako na barbarzyńców, nie umiejących poznać się na piękności gmachu. Gdy znowu mowa u nas o tym, że Czesi zburzyli posąg Madonny, postawionej przez Habsburgów na straż niewoli narodu czeskiego, to kolej oburzania się na barbarzyństwo przychodzi na nas. Czesi mają swoje rusofilstwo, my mamy swój bezkrytyczny katolicyzm. Te dwa odmienne stanowiska wykluczają zupełnie jakieś praktyczne w swych skutkach pobratymstwo.

W walce z Rzymem i Wiedniem stracił naród czeski swoją szlachtę i w chwili odradzania się pozbawiony był narazie czynnika ważkiego i ważnego, ale zarazem pozbawiony był balastu na przyszłość. Demokratyzm czeski nie był doktryną polityczno-społeczną, ale był rzeczywistością. Czesi byli demokratami z konieczności i ideał demokratyczny doprowadzili do takiej realizacji, jak nigdzie. Ich literatura i sztuka nie ma w sobie tego arystokratyzmu, jakim odznacza się literatura i sztuka nasza. Przeciętny Czech zrozumie najwyższe twory swej literatury i sztuki bez osobliwego wysiłku, a dzieła literatury są tak popularne wśród Czechów, że pierwszy lepszy robotnik potrafi w chwili odpowiedniej zacytować czy to epigram Havlička, czy jakiś ładny wiersz Nerudy albo Machy!

U nas sztuka i literatura jest w stosunku do analfabetycznych mas nawskroś arystokratyczną nie tylko co do formy, treści i upodobań, ale i co do poziomu. Nawet przeciętny inteligent musi dorastać do rozumienia wielkich utworów Mickiewicza, Słowackiego, Norwida, Wyspiańskiego, a cóż mówić o masach? Dla przeciętności polskiej harfa Szopena i oktawa Słowackiego są niememi, nie mówią im nic i zachwyty bywa często konwencjonalny i obłudny. Następnie szerokie masy naszego ludu więcej niż o polskości, wiedzą o katolicyzmie i papieżu. Uroczystości narodowe obchodzimy po kościołach i jeszcze nie wiemy, czy należy mówić Polak-katolik, czy Katolik-polak. Wolność sumienia mamy na papierze, bo rządzi u nas kler i jego wola. Demokracja nasza rodzi się dopiero, obarczona nadto ciężkim dziedzictwem arystokratyzmu wszystkich dziedzin życia i wszystkich możliwych postaci.

W takich warunkach pobratymstwo jest słowem bez treści i należałoby wyrzucić je ze słownika imponderabiliów politycznych. Czesi mają pokrewny z nami język, to prawda, — w żyłach ich płynie krew słowiańska, to druga prawda, chociaż tę drugą prawdę należy uzupełnić bardzo znaczną domieszką krwi niemieckiej, która oddaje Czechom usługi bardzo duże. Ale co dalej? Mówiąc językami pokrewnymi, wyrażamy rzeczy tak nawskroś odmienne i różne, że o zrozumieniu się

nie może być mowy, dopóki do pobratymstwa fizycznego nie przyłączy się pobratymstwo duchowe.

W perypetjach sporu polsko-czeskiego bywały chwile przypominające zawieszenie broni. Wówczas nawet najbardziej hałaśliwe organy prasy czeskiej zaczynają pisać w tonie umiarkowania i pojednawczości. Piszę się wówczas o mniejszości polskiej w Czechosłowacji jako o pobratymczej i z powodu niewielkiej liczebności niegroźnej, a przeto zasługującej na najdalej idące zaspokojenie słuszych żądań i t. d. Piszę się wówczas o wewnętrznym życiu polskim spokojnie i rzeczowo, wypowiada się nadzieje na przyszłość współżycia polsko-czeskiego i t. d. Ale gdy te nadzieje zawodzą, wówczas prasa podnosi larum a jeden z organów „*Ceské Slovo*“, który zawsze wyróżniał się żywą nienawiścią do polskości i Polski, wypowie za wszystkie inne organy co serca czeskie czują.

To „*Ceské Slovo*“, organ byłego ministra obrony narodowej i bliskie podobno ministrowi spraw zagranicznych, Beneszowi, wygraża nam poprostu wywleczeniem na forum międzynarodowe spraw naszych mniejszości, jeśli domagać się będziemy, aby Polacy w zaborze czeskim byli traktowani sprawiedliwie. Przytym wychodzi na jaw bolączka pobratymcza, nasze granice wschodnie i radość na długoterminowy kredyt, że kiedyś te granice będą korygowane przez przyszłą Rosję,—a wówczas korektura ich będzie obchodziła także Czechosłowację. Innemi słowy: Dzisiaj trzeba się z Polską liczyć, ale przyjdzie czas, że Rosja odepchnie Polskę na zachód i ustali wspólne granice czesko-rosyjskie, a wówczas skończy się konieczność liczenia się z Polską. Tymczasem zaś można ją denuncjować przed Ligą Narodów, że nie dotrzymuje swych zobowiązań względem mniejszości narodowych i t. d. Oto tenor artykułu „*Ceskego Slova*“. Prasa nasza oburza się na ten artykuł, ale kto śledzi uważnie prasę czeską, ten wie, że artykuł organu pana Kłofacza nie jest bynajmniej osobliwością. W roku 1920 na wiosnę nie przestawało „*Ceské Slovo*“ przepowiadać nam rychłego upadku, a podczas najazdu bolszewickiego nie posiadało się z radości, że nadchodzi koniec tej Polski, która nie chce we wszystkim ustępować Czechom. Zależnie od położenia międzynarodowego zmieniał się ton tej gazety, a teraz powraca do tonu dawnego i najbardziej szczerego.

Gdyby Czesi mieszkali na biegunie północnym a my na południowym, to może kochalibyśmy się z sobą szczerze i mogłaby być mowa o jakimś pobratymstwie, ale że sąsiadujemy z sobą i w dodatku mamy pewne złudzenia co do swego pokrewieństwa, o miłości nie będzie mogło być mowy, dopóki rusofilstwo czeskie nie ulegnie z tego czy innego powodu likwidacji.

My sami dobrze zrobimy, jeśli wyrzucimy do lamusa wszystkie frazesy o pobratymstwie. Jesteśmy dwoma tak różnemi narodami, jak tylko to jest możliwe. Historia zrobiła z nas duchowe przeciwieństwa, wobec czego podobieństwo językowe jest takim drobiazgiem, że nie warto zaprzętać sobie nim głowy. Współżycie sąsiedzkie możemy oprzeć jedynie na realnych interesach, ale nigdy na sentymencie tak dalece nieuchwytnym, jak rzekome pobratymstwo i wzajemność słowiańska.

ST. GULIŃSKI
LIST Z WIELKOPOLSKI

Poznań w sierpniu.

Zbyt trudną byłoby rzeczą przedstawić w krótkiej korespondencji to, co stanowi treść życia społeczeństwa wielkopolskiego. Chciałbym jedynie wypowiedzieć garść uwag, które mi się nasuwają, gdy się zastanawiam nad takimi lub innemi przejawami życia tutejszego.

Ogólnie panuje przeświadczenie, że Poznańskie jest domeną reakcji, ostoją wpływów prawicowych. Mało spotyka się jednak zdań, któreby przyczynę tego zjawiska chciały wytłumaczyć. Wyjaśnienie pewne daje fakt, że niewola pruska pozostawiła tu wyjątkowo głębokie ślady. Oprócz pewnych dodatnich stron, które posiada każda kultura narodowa, przeszczepili Niemcy na grunt Wielkopolski całą masę swych wad. Warto przypomnieć, że Poznańskie dla Niemiec przedwojennych było tym, czym niestety u nas są dla wielu Kresy wschodnie w stosunku do reszty kraju. Urzędnik niemiecki uważał sobie za degradację, jeżeli został z centralnych Niemiec przeniesiony na „mało kulturalne kresy wschodnie“. To też nic dziwnego, że element niemiecki, który spełniać miał rolę germanizatorską na kresach był najczęściej najmniej wartościowym materiałem ludzkim. A za pośrednictwem tego właśnie żywiołu społeczeństwo wielkopolskie asymilowało głównie kulturę niemiecką, zapatrzone — mimo wszystko — w wielkość Niemiec w przeświadczeniu, że wszystko to, co od nich przyjmuje, jest dobre i da mu te wartości, których samo w sobie nie widziało. Nie będę tu poruszał tysiąca przejawów tutejszego życia obcych kulturze polskiej, tak nieraz rażących przybyśza z innej dzielnicy, rzeczy które często nawet zostałyby zdyskwalifikowane w kulturalnym środowisku niemieckim. Pominę momenty, że do czasu powstania Polski zanikła

tu zupełnie polityczna myśl państwowa polska, chcę natomiast podnieść dwa momenty, które wydają mi się podstawowemi dla wytłumaczenia obecnego stanu rzeczy, a które źródło swoje mają w przeszłości, są pozostałościami rządów pruskich — niewoli.

Niemcy przedwojenne były rządzone centralistycznie, wszystko szło od góry, każdy obywatel państwa otrzymywał z góry określoną ilość wiedzy, dostosowany zostawał do schematu z góry ułożonego, w ramach którego miał wykonywać czynność również z góry przewidzianą. Najmądrzejszym był cesarz i jego otoczenie, oni myśleli, reszta miała ślepo słuchać. W ten sposób wytworzył się istotnie nadzwyczaj zgrany aparat państwowy, który w całym swym łańcuchu oparty był o jeden jedyny moralny czynnik: wiarę w mądrość swego cesarza i o idącą w ślad za tym butę i zarozumiałość. Cały ten gmach runął katastrofalnie z chwilą zachwiania w narodzie niemieckim czynnika wiary w jedyną mądrość cesarza, wobec nagiego faktu zawodu z powodu przegranej wojny. Lecz aczkolwiek system ten runął, pozostały głębokie ślady cechujące do dnia dzisiejszego nie tylko Niemców, ale i tutejsze społeczeństwo polskie, które w całej rozciągłości temu systemowi z musu podlegało. Ogólna bierność wobec spraw ideowych i politycznych w znaczeniu konieczności kształtowania ich przez własny wysiłek, związane z tym ogólne oglądanie się na kogoś z góry który wszystko robi, winienie bezkrytyczne głowy państwa za wszelkie dolegliwości państwowe, brak kultury politycznej i odróżnienia interesów politycznych klas społecznych od interesu i przewodniej myśli politycznej państwa, byłyby temi charakterystycznymi cechami.

Drugą sprawę, która w dużo większym stopniu cechuje zachodnie nasze kresy, niż resztę kraju, jest zupełna negacja wartości idealnych na rzecz patrzenia na wszystko przez pryzmat materjalizmu, bardzo ciasno pojętej korzyści materjalnej. Ta druga cecha wypływa automatycznie z pierwszej poprzednio poruszonej. Cechę tę można spotkać w całej Polsce, jako wypływ stosunków powojennych, ale w rozmiarach tak dużych, jak tu, nigdzie się nie spotyka. Powierzchnowy obserwator stosunków, może będzie chciał zaprzeczyć, wysuwając, że Poznańskie jest przecież patriotyczne, posiada pewne swoje ideały. Ale należy pamiętać, że patriotyzm tutejszy nie jest pozytywny, wypływa raczej z uczucia nienawiści do Niemiec i na tym się głównie kończy. Nie chcę odmawiać całej nawet masie prawdziwych głębszych wartości idealnych, ale są one jakoś dziwnie wzkoślawione, jakby przypruszone ogólnym zmechanizowaniem życia, które pozostało po niewoli niemieckiej.

Na takim ogólnikowo tutaj naszkicowanym tle psychicznym, powstawać zaczęło na nowo po tylu latach państwowe życie polskie. Jako

wyraz niedopasowania się do reszty Polski powstał, zresztą przez kierujących tu opinię polityków nar.-dem. wzniecony i podtrzymany, odruch separatyizmu, jako chwast, który zdrowe soki i siły społeczne wysysał i marnował. Przez wejście w obręb państwowości polskiej stosunki polityczne musiały się zacząć kształtować podobnie jak wszędzie indziej. I mimo, że proces ten powoli dosyć postępuje, zlanie się Poznańskiego, zróżniczkowanie polityczne będzie musiało upodobnić się do reszty kraju. Tymczasem jednak pozostała tu konjunktura nadzwyczaj odrębna dla kierowników nar.-dem. Z jednej strony brak wyrobienia politycznego mas, przyjęcie kłamliwie i demagogicznie wysuniętego hasła, że jedynie partje narodowe bronią przed Niemcami, a inne, jako nie narodowe, sprzyjają Niemcom, bierność polityczna mas, czekanie — według przyzwyczajenia z czasów dawnych — aż ktoś za nie wszystko zrobi, sprawiło, że klasa posiadająca, reprezentowana przez nar.-dem., przy świadomym poparciu potężnego kleru, masy pracujące sobie całkowicie podporządkowała, moralnie i materialnie ujarzmiła. Łatwość przeprowadzenia tego wytworzyła w szeregach nar.-dem. przekonanie o swej sile i wzbudziła aspiracje rozciągnięcia tego stanu rzeczy na całą Polskę. Stąd płynie przejęta zresztą od Niemców zarozumiałość polityczna tych sfer, w stosunku do innych dzielnic. Aż do ostatnich czasów zastępowała nar.-dem., w stosunku do biernych mas ten czynnik, który tak jak cesarz za wszystkich myślał i jedynie słuchać kazał. Chciałbym tedenak zwrócić uwagę, że tak samo może się z nią tu skończyć, jak się stało z cesarzem niemieckim w stosunku do narodu niemieckiego. W chwili, gdy momenty zaufania i wiary w stosunku do prowodyrów n.-dem. prysną, rozpadnie się jak domek z kart cała ich siła i potęga. Panowie ci siłę swą budują na kruchych przesłankach, na pozostałościach pruskiej niewoli.

Do świadomości tutejszej coraz bardziej zaczyna przenikać zdrowy duch polski. Oddziaływać zaczyna fakt, że dostępny dziś ośrodek twórczy myśli polskiej znajduje się poza Poznaniem. Porównajmy pierwsze i ostatnie wybory z tem co dziś można tu obserwować. Zróżniczkowanie polityczne istnieje coraz większe. Przy pierwszych wyborach była jedna „lista narodowa“, ostatnio mieszczaństwo poszło osobno, wieś postawiła swoje listy, jak również robotnicy. I mimo że w walce z ósemką nie odnieśli jeszcze zwycięstwa, posunęli się o duży krok naprzód. A dziś rozmawiając z przeciętnym wyborcą ósemkowym tak często słyszy się zdanie: „Oszukali nas, już teraz będę mądrzejszy!“ I nic dziwnego, gdy zachodzą fakty tak bijące w oczy, że tu gdzie posiadamy obszary rolne, gdzie produktów żywnościowych jest aż za dużo, gdzie przecież niema tak jak w Kongresówce pośredników żydów, ostatnio produkty rolne w sprzedaży detalicznej były droż-

sze niż w innych dzielnicach. To też dziwić się trudno, że powstają odruchy protestu, zaburzenia głodowe. Dzięki gospodarce prowadzonej tak wybitnie przez warstwy posiadające, zubożenie mas pracujących jest tu teraz bodaj największe. Nieraz dochodziło już do moich uszu zdanie, że: „w tej Kongresówce to jednak tak źle chyba nie jest, zawsze robotnik tam się ma lepiej, więcej zarabia, ma większą ochronę...”

Coraz wydatniej uwidocznia się tu proces, że drobne mieszczaństwo zaczyna upadać, oddając głównie swe zyski na rzecz wielkiego kapitału. Stosunek zaufania do dotychczas kierującej góry zaczyna się rwać i jest tylko już kwestją czasu aż się całkiem zerwie. Za szczególny objaw należy uważać zjawisko, że powoli wysuwać się zaczynają ludzie, którzy otrząsnąwszy się naleciałości niewoli, zaczynają przedstawiać typ wolnego człowieka na tym gruncie. Oby zdążyli oni stworzyć łożyska, przez które zdrowy zresztą i naturalny odruch mas zdołaby wpłynąć dla dobra i uzdrowienia stosunków społecznych. Trzeb, tu na gwałt prostować wykrzywione linie rozwoju społecznego, gdyż w przeciwnym wypadku może nastąpić załamanie się sił, wystąpienie wzburzonej fali poza brzegi i zatopienie wszystkiego w bezplanowej anarchji. Są to rzeczy tym łatwiejsze, że brak wyrobienia politycznego zawsze powoduje krańcowość poglądów mas, odruchowe przerzucanie się z jednej strony na drugą. Nic nie pomoże wówczas zaklinanie na patryjotyzm, gdy głodna masa będzie do ostateczności doprowadzona.

Obecny stan rzeczy jest naturalnym wynikiem stosunków przedwojennych. Siła nar. dem. jest skutkiem zbyt długotrwałego okresu niewoli, gdzie wyniki rządzenia systemu pruskiego, pewne obyczajowe i duchowe zniemczenie, bierność mas, posłużyły jej do zagarnięcia władzy w swoje ręce. Dalszym wynikiem jest fakt, że masy pracujące umysłowo i fizycznie są tu dziś najgorzej sytuowane i stan ten doprowadzić może do bardzo ciężkich wstrząsów wewnętrznych. Jedynym racjonalnym wyjściem może być wyteżona praca w kierunku odniemczania się duchowego pod każdym względem, wstawiania na to miejsce nowych wartości ideowych, które winny się stać motorem dalszej pracy, podstawą do wytworzenia silnego łożyska, w którymby popłynęła zdrowa myśl polityczna i świadoma akcja zorganizowanych mas pracujących.

Trzeba wygrzebywać, i wyciągać na wierzch wartości, które tkwią w tutejszym społeczeństwie, a pod pokrywą naleciałości niemieckich są nieraz skrzętnie ukrywane lub nieraz, niestety dla chwilowych korzyści partyjnych, niszczone. Jestem najgłębiej przekonany, że z chwi-

lą takiego przeobrażenia się Poznańskiego, wypłyną tu talenty i zdolności, energia społeczna, która w sposób nadzwyczaj dodatni spotęguje siłę całej Polski.

PRZEGLĄD

PRZEGLĄD POLITYCZNY.

(T. H.) Sierpień z płytkiego punktu sensacji był ubogim w polityczne wypadki w Polsce. Społeczeństwo zajęte urlopami i wakacjami z jakąś dziwną biernością przyglądało się procesowi rozkładu rządu Witos-Głabińskiego. Bo zaiste, jeśli ubogie były w myśl polityczną i czyn zdecydowany rządu Ponikowskiego i Nowaka, to obecny rząd jest jakąś żałosną karykaturą tamtych. Tamte i ten rząd mają jeden wspólny rys — *strach*. Strach przed opinią publiczną, przed prasą, przed obcemi państwami.

Ale wówczas, gdy rządy Ponikowskiego i Nowaka z samego swego założenia zmuszone były wszystkim partjom dogadzać i wszystkich bać się — to obecny rząd powstawał rzekomo pod auspicjami zdecydowanego czynu i jasno wytkniętego programu.

A tymczasem ten rząd robi wrażenie zająca, który straciwszy głowę panicznie miota się w „kotle“ myśliwskim, coraz bardziej ścieśniającym się.

Boi się ten rząd fabrykantów, obszarników i bankierów i dlatego złożył już w ofierze Grabskiego, ale przerażony atakiem społeczeństwa zmusza stronnictwa większości, by chociaż z zabójczym dla skarbu opóźnieniem i zniekształceniem, uchwały wszystkie projekty podatkowe Grabskiego. Bojąc się sfer posiadających pozwala im na wywóz środków żywności i na wyuzdany „pasek“, a jednocześnie mianuje pana Bajdę, który plosząc drobne plotki, ma mylić oczy społeczeństwa, że rząd walczy z drożyzną.

Katastrofę gospodarczą, której jaskrawym wyrazem jest niebywała dotąd szybkość spadku marki i wzrostu drożyzny, rząd chciał powetować sukcesami w polityce zagranicznej. Lecz otrzymał znowu same klęski.

A więc wczoraj atakował rząd Sikorskiego za zmniejszenie sekwestru dóbr żywieckich, dziś przemycą w sejmie aprobatę tejże decyzji min. Seydy. Wczoraj ogłasza atak na Gdańsk—aby dziś rejterować. Wczoraj czyni śmieszna i głupią represję wobec metropolity Szeptyckiego, aby dziś na groźny okrzyk z Watykanu, rozpadać się przed nim w przeprosinach. Wczoraj wrzaski w sprawie „*numerus clausus*“ — dziś grzebanie tej sprawy, o ironjo, rękami ks. Lutosławskiego, — bo Żydzi zagranicą podnieśli gwałt. I tak we wszystkim. Swolnienia ze zgrają szpicli posyła się do Wilna, by śledzić Marszałka Piłsudskiego, lecz nazajutrz—widząc oburzenie społeczeństwa — sromotnie całą tę wyprawę razem z jej szefem cofa się z powrotem do Warszawy. Redaktorowi opozycyjnego tygodnika daje się rozkaz, by zjawił się z 25 milj. kaucji do sę-

dziego śledczego—inaczej więzienie, — nazajutrz, gdy prasa podniosła alarm, to zarządzenie się cofa.

Jedyna rzecz, w której ten rząd nie przejawia strachu — to w dziedzinie rugów urzędników i wojskowych—no ale tu działa silniejsze nawet aniżeli strach pragnienie obsadzania miejsc i stanowisk swymi ludźmi. Długo poskramiane apetyty muszą być teraz zaspokojone.

Ubóstwo polityczne i ideowe tego rządu jest przerażające i w tym tkwi cała jego słabość. Dziś za tym rządem, chwiejącym się jak trzcina za łada podmuchem, — zwłaszcza idącym z zagranicy, — tak samo nikt nie stoi, jak nikt nie stał za rządami Ponikowskiego i Nowaka.

Czuje to sam rząd, więc chce zatrzymać proces gnicia przez rekonstrukcję. Szydłowski, Smulski, Kucharski na nowym stanowisku, mają być tą świeżą krwią. Wątpliwe—mści się na tym rządzie jego bezideowość, gdyż nie może mieć wspólnego programu rząd, który stworzyły partje, mające tylko jedno wspólne uczucie—pragnienie władzy za każdą cenę.

Rekonstrukcja ta może tylko przyspieszyć niesławny koniec, bo oto Witos, by związać z sobą mocniej niepewnego Bryla, przevorsował w rządzie jego kandydaturę na ministra robót publicznych. Endecja zgodziła się na kandydaturę tego doszczętnie nietylko politycznie, lecz moralnie skompromitowanego człowieka, widocznie uważając, że spółka z Witosem i Kiernikiem tak ją skompromitowała, że nic już więcej nie może zaszkodzić. Tymczasem Prezydent Wojciechowski, który z zaskakującym spokojem przyglądał się dotychczasowym praktykom rządu Witos-Głabińskiego i nie zdołał nawet obronić Grabskiego, któremu przyrzekł, namawiając do objęcia teki ministra skarbu, że gwarantuje mu 4 lata urzędowania, aby mógł w całości swój program zrealizować—zaoponował, gdy zobaczył nominację Bryla, i odmówił swego podpisu. Ale Bryl tej swej kompromitacji nie złożył w ofierze na ołtarzu „rządu narodowego“ i zapewne wyciągnie odpowiednie konsekwencje przy najbliższej sesji Sejmu.

Taki jest ujemny bilans rządów obecnego gabinetu „stronnictw narodowych“. Czy trzeba mówić, że będzie on coraz gorszym?

Drogo Polska za ten eksperyment zapłaci, — a jednak może nie będzie szkoda tej wysokiej ceny i tego eksperymentu.

Narodowa Demokracja w roli opozycji prowadziła wyraźnie antypaństwową agitację nie licząc się z niczym przy zwalczaniu niemiłych jej rządów Kom. Piłsudskiego. Ale jednocześnie z tą swoją agitacją stroiła się w pawie pióra wysokiego, ofiarnego patriotyzmu i racji stanu, nie znając przytym miary w szafowaniu obietnicami na wypadek dojścia do władzy. W takich warunkach przy istnieniu takiej niesumiennej opozycji wszelka państwowa praca była niemiernie utrudniona. Jeśli ktoś stoi nad tobą i założywszy ręce patrzy na twą robotę i wciąż powtarza: a jabyłm lepiej to potrafił zrobić — to wreszcie i ten który pracuje, a zwłaszcza ci dla których się pracuje zaczynają mieć wątpliwości—a może rzeczywiście on lepiejby robotę zrobił? Narodowa Demokracja była mistrzynią demagogii. Genjalnie umiała grać na ciemnocie, analfabetyzmie i egoizmie wyborców. Bóg, Ojczyzna, Żydzi, Socjaliści, Masoni, — były to takie proste, a tak przekonywujące argumenty—bo cóż łatwiej trafia do świadomości ciemnego człowieka — jak nie fałsz i oszczerstwo? Druga serja tych argumentów politycznych to była powódź hojnych obietnic pod adresem wszystkich. Kamiecznikom przyrzekano zniesienie ochrony lokatorów, lokatorom—dach nad głową. Fabrykantom zniesienie 8 godz. dnia pracy, rozwiązanie Kas Chorych—robotnikom szeroki program reform społecznych. Obszarnikom pogrzeba-

nie reformy rolnej — włościanom „sprawiedliwą, rozsądną reformę rolną“. Handlarzom wolny handel i nieograniczony wywóz za granicę — szerokim masom niebywale tani chleb, tani dolar, jako symbol wielkiej taniości i t. d. Zaiste dobrze przysłużyłby się Polsce ten, ktoby zadał sobie trud zebrać dziś razem wszystkie przyrzeczenia i obietnice, któremi tak hojnie szafowała „ósemka“ w swych odezwach i ulotkach w czasie kampanji wyborczej.

Dziś według mniemania tych, którzy jej wierzyli, musi ona spełnić te wszystkie przyrzeczenia, które w rzeczywistości wzajemnie wykluczają się. Nic też dziwnego, że rząd obecny miota się, jak opętany w zaczarowanym kole tych przyrzeczeń. I oto szerokie masy ogłupionych i ciemnych zaczynają otwierać oczy, zaczynają *politycznie myśleć* i rozumieć, że nie wszystko można spełnić co się bezkrytycznie przyrzekło. Zaczynają one rozumieć, że jeśli z pewnemi rzeczami, jak spadek marki i drożyzna, nie mogły dać sobie rady rządy poprzednie, to nie daje jej sobie z niemi i rząd obecny choć tworzące go stronnictwa tak surowo krytykowały poprzednie. I, gdy niebawem N-Demokracja znajdzie się znowu w roli opozycji, napewno będzie musiała być bardziej oględną w swych demagogicznych poczynaniach, obietnicach i metodach walki.

Rządy N-Demokracji mają i tę dobrą stronę, że społeczeństwo zaczyna mieć dość tej atmosfery kłamstw i insynuacji, którą ona wytworzyła.

Jak dalece ten zbawienny proces posunął się — świadczą chociażby fakty coraz częstszych sprostowań kłamstw „Gazety Warszawskiej“ na jej własnych łamach przez jej własnych czytelników, które to sprostowania musi ona umieszczać. Przypomnijmy chociażby polemikę, jaka się toczyła na łamach „Gazety Warszawskiej“ w sprawie mińskiego biskupa Łozińskiego, na którego jakiś anonim rzucił stek oszczerstw.

Znamienną jest rzeczą, że na czele tej ciężkiej walki z panowaniem kłamstwa, stanął Józef Piłsudski.

Zachowanie się Komendanta po ustąpieniu z wojska jest jeszcze jedną wielką pedagogiczną lekcją w stosunku do społeczeństwa. Oto człowiek który był zwycięskim Naczelnym Wodzem i Naczelnikiem Państwa, który stanął w szeregu nieśmiertelnych Wodzów Narodu — gdy dobrowolnie usuwa się z areny życia państwowego, nie zamyka się w ustroniu, nie otacza siebie nimbem tajemniczości i niedostępności, ale ze swobodą człowieka istotnie demokratycznego i wysokiej kultury politycznej, prawdziwego męża stanu, jak Poincaré, Lloyd-George, Rozeswelt — przeistacza się w prywatnego człowieka wolnego obywatela; — on żołnierz z krwi i kości, rozkochany w wojnie, śpiewający hymny na jej cześć, ze wzruszającą swobodą z tą chwilą, gdy zrzucił mundur, staje się odrzuć „cywilem“, chwytą za oręż każdego obywatela, to znaczy wolność słowa i pióra — i po mistrzowsku zaczyna walczyć tą bronią.

Wczorajszy Naczelnny Wódz i Naczelnik Państwa dziś oto stał się publicystą, prelegentem — ostrym, odważnym aż do zuchwalstwa, spędzającym całe godziny w otoczeniu profesorów uniwersytetów, posłów, polityków, działaczy społecznych, dziennikarzy. I przez to zlanie się z prawdziwą inteligencją polską nie tylko że nie obniżył, rzecz naturalna, swej powagi i autorytetu — ale jeszcze bardziej go wzmocnił, jeszcze stał się droższym narodowi, ujętemu tą cudowną prostotą, która jest darem Bożym dla ludzi naprawdę wielkich.

Oto okazało się, że ów samotnik z Belwederu — który dziwił wielu tym spokojem, z jakim traktował oszczerców — był tak zamknięty w sobie póki był wyrazicielem suwerenności i godności narodu. Obecnie będąc już pry-

watnym człowiekiem powiada, że dlatego nie pociągał nikogo do odpowiedzialności sądowej, bo wywyższałby w tedy oszczerców. Musiał milczeć chociaż uważał, że „państwo i naród, które na podstawie kłamstwa, na podstawie negowania prawdy budują myśl polityczną, dążą do zguby“.

I postanowił, wierny swemu ukochaniu Polski, ratować ją od zguby dziś, gdy już nie jest Naczelnikiem Państwa, gdy ma swobodę ruchów i czynów, jako człowiek prywatny.

I oto ten sam człowiek, który ongiś w imię wolności słowa był pierwszym nie tylko organizatorem lecz redaktorem i drukarzem wolnego niepodlegającego żadnej cenzurze pisma w Królestwie, a następnie organizatorem niezależnej polskiej siły zbrojnej — dziś staje na czele walki z kłamstwem, gdyż „żyjemy w czasach w których prawo oszczerstwa i szarpania czci cieszy się nadzwyczajną swobodą i uznaniem.“

Piłsudski postanowił walczyć *prawdą*. I oto okazuje się, że w tej atmosferze kłamstwa i insynuacji, którą jest przesiąknięte nasze życie publiczne, prawda jest bronią, straszną. Piłsudski rozpoczął tę swoją walkę, mową na Zjeździe Legionistów we Lwowie o oszczerstwie jako straszej chorobie społecznej. Następnie przyszedł odczyt o Lwowie. Był to krok wielkiej odwagi cywilnej. N Demokracja, zdawało się, tak wmówiła w opinię publiczną, że „Piłsudski nie chciał bronić Lwowa“, że mniej odważny człowiek nie śmiałby stanąć oko w oko tak z uprzedzoną i oszukaną opinią tego miasta. A jednak Komendant Piłsudski stanął do tej walki i wygrał ją na całej linii, a to dlatego, że powiedział Lwowianom całą prawdę i tylko prawdę — prosto w oczy. Powiedział o tem, że dorośli Lwowianie w swej większości nie bronili miasta, lecz politykowali, układali się z Ukraińcami, a walczyły tylko dzieci, że Lwów uratował 5 p. Legionów, a następnie młodzież z całej Polski zmobilizowana przez P. O. W. Szczerze mówił o tem, jak w ciągu pierwszych dni swego pobytu w Polsce nie nic mógł zrobić dla Lwowa. Miał odwagę przyznać się we Lwowie do tego, że w pewnym momencie powiedział swemu adjutantowi „Lwów — a strzelam“. Ale jednocześnie fakt za faktem opowiedział całą historję obrony Lwowa i swoją rolę w tej obronie. I tą prawdą, tym podawaniem gołych faktów zwyciężył. To samo powtórzyło się następnie w Wilnie. Mieszkańcy tych miast widzieli, czuli, że ten człowiek mówi samą prawdę, zupełnie nie licząc się z tym, jaki wywrze ona efekt, czy podoba się czy nie jego słuchaczom. I oto widzimy, jak prasa prawicowa kłopotliwie milczy, czując, że na tej drodze walki podjąć nie może.

Jak dalece jest żywym ogólne pragnienie oczyszczenia tej zatrutej kłamstwami atmosfery, świadczy chociażby wiec urządzony w Warszawie 19 sierpnia przez P. O. W. dla uczczenia rocznicy odparcia inwazji bolszewickiej. Wiec ten zagał senator Woźnicki, który jako członek Rady Obrony Państwa spokojnie opowiedział to wszystko, co tam widział i słyszał, nic nie dodając i nic nie ujmując naszym przeciwnikom politycznym.

Inni mówcy trzymali się tej samej taktyki. Ciekawe były dwa momenty w czasie przemówienia T. Hołówki, mówca ten powiedział: „Polskę uratował lud pracujący, ten robotnik i włościanin, który tłumnie poszedł do szeregów, — ale w imię prawdy trzeba powiedzieć, że poszła wówczas na ochotnika i inteligencja nie tylko radykalna lecz i prawicowa, nie tylko P. P. S-ocy lecz i członkowie „Rozwoju“, nie tylko robotnicy, chłopci lecz i synowie fabrykantów i obszarników. W imię partyjnej zawiści nie pomniejszajmy zasług obecnego pokolenia jako całości“ —, to wówczas na sali, gdzie nie było ani jednego zwo-

lenika stronnictw prawicy, rozległy się huczne oklaski. A gdy ten sam mówca mylnie postawił zarzut Dmowskiemu, że on to pierwszy wypowiedział się na Radzie Obrony Państwa za *votum* zaufania dla Piłsudskiego jako Naczelnego Wodza—senator Woźnicki zaraz po skończeniu tej mowy sprostował mylną informację mówcy,—opowiadając, jak się rzecz miała w rzeczywistości. Nic też dziwnego, że uczestnicy tego wiecu rozchodzili się ze słowami: „tu naprawdę mówiono nam tylko prawdę“.

Tę walkę o prawdę i uczciwe metody w życiu politycznym winniśmy dalej prowadzić z coraz to większą energją.

Dla tych wszystkich przyczyn uważam, iż fakt dorwania się N.D. do władzy może obrócić się na dobre. Wykazała ona całą swoją niemoc polityczną, brak ludzi naprawdę silnych i dzielnych, dusi się obecnie sama w tej atmosferze kłamstwa, którą wytworzyła.

Ale każdy eksperyment, tego rodzaju tylko wtedy nie wyrządza wielkiej szkody gdy w czas jest przerwany. Można nawet ster statku dać na chwilę w ręce zarozumiałego i krzykliwego nieuka, twierdzącego że on poprowadzi statek dobrze i pomyślnie; można uczynić tak, jeśli inaczej nie można przekonać zmęczonej i obalamuconej przezeń załogi, że ten krzykacz nie ma pojęcia o sterowaniu. — Ale nie wolno samemu zwątpić lub obrazić się, oddać krzykaczowi ster i ze słowem „niech djabli wszystko biorą zejść z pokładu do kajuty. Przeciwnie, trzeba stać krzykaczu, bacznie obserwować jego nieudolne szarpanie się przy kole, aby w tym momencie, gdy ludzie przekonają się, że był on zwyczajnym krzykaczem i kłamcą — lub gdy statkowi będzie grozić wyraźne niebezpieczeństwo, ująć ster niezwłocznie w swe ręce.

Wówczas nawet jeśli przez ten eksperyment statek zboczy nieco z drogi — wszystko to da się odrobić i naprawić, bo załoga już nie będzie burzyć się pocniecaua przez niesumiennych, lecz stanie karnie do pracy. Ale trzeba w czas odebrać od krzykacza ster, lub go niezwłocznie pochwycić, gdy przerażony tym co zarobił sam go w popłochu rzuci. Zapóźno odebrać — to być może zgubić nawet sam statek.

Otóż lewica polska stała w tej sytuacji obserwatora. Musi mieć bystre oczy i zdecydowaną wolę — aby przewidzieć krytyczny moment i w tym momencie mocno uchwycić ster władzy w swe ręce.

A wówczas możemy być pewni, że okrzykami radości powitają fakt ten nawet ci, którzy jeszcze wczoraj ślepo wierzyli krzykaczom i kłamcom.

K S I A Ż K I

PRZECIWNATARCIE BEZ CELU

(K. L. - KRZ.) Odpowiedź p. Juliusza Kadena-Bandrowskiego ¹⁾ na zarzut, jaki mu postawiłem („Generał Barcz“ № 3 „Drogi“) jest bez żadnego znaczenia, jeżeli chodzi o jej argumentację w obalaniu go. Zarzut mój brzmiał następująco:

„Jest on (Rasiński w „Generale Barczu“) zaprzeczeniem jednego z paru

¹⁾ Patrz № 4 „Drogi“.

kamieni węgielnych tego, co się składa na „morale“ owych Piłsudczyków ¹⁾ i co od dawien dawna stanowi także „morale“ wszystkich żołnierzy (co np. w „Panu Wołodyjowskim“ jest moralnością Sobieskiego i Wołodyjowskiego): „Najwyższą nagrodą za czyn dokonany jest moralne zadowolenie z jego spełnienia“.

Wydaje mi się, że w sposób zupełnie zrozumiały i wykluczający wszelkie nieporozumienie stwierdziłem, dlaczego Rasiński jest objawem „niemoralnym“ w „Generale Barczu“, a to tembardziej, że zarzut swój poparłem wyjątkami z tej powieści.

Pan Kaden zaszczycając mnie swoją odpowiedzią, ujmuje w jedną dłoń swój piękny stan służby („Ja, kapitan Wojska Polskiego, ongiś chorąży 5 p.p. Legionów Polskich, stary peowiak, który należał do wszystkich spisków polskich od 1910 roku“... i t. d.), a drugą kładąc na głowach swych dzieci, woła w „Drodze“: „Ale jeżeli *zarzuca* mi ktoś, iż, w tym, z czego dumny będę do końca życia, co jako najdroższe szczęście przekażę moim synom; iż w tym co wyższe jest nad sławę i miłość; — ale jeżeli *zarzuci* mi ktoś, iż w rycerskiej przyjaźni *zdrady* się dopuściłem — to niech pozwoli, że odrzucimy maski autora, czy krytyka i że się rozmówimy twardem słowem prostoty i powagi“ ²⁾

Dlaczegoż to p. Kaden, uważając za stosowne odpowiedzieć mi, nie rozwija wcale tak właśnie przez siebie sformułowanego zarzutu, którego mu nigdy i nigdzie *nie* postawiłem. Niech pan Kaden pozwoli i mnie użyć słów twardych, w odpowiedzi na to retoryczne pytanie. Oto dlatego, że ten cały ustęp o kimś (o mnie), kto mu jakoby zdradę przyjaźni rycerskiej zarzucał jest chwytem, — chwytem tak niedopuszczalnym, jak niedozwolone jest w prawidłowej walce, dla której istnieją określone przepisy, wykręcanie ręki, lub kopnięcie.

Gdy pan Kaden próbuje niedozwolonego chwytu na mojej mizernej osobie, — to muszę to stwierdzić dla dobra walki, która nie może nosić charakteru bójk.

Prawidłowo walczyć pan Kaden z pewnością umie, ale ze mną nie chce. Prawdziwy mój zarzut, który przypominałem na początku, autor „Generała Barcza“ oto tak przytacza:

„Jest on (Rasiński) zaprzeczeniem jednego z paru kamieni węgielnych tego, co się składa na „morale“ Piłsudczyków. ³⁾

Pan Kaden uciał mi jak nożem *zasadniczą* połowę mego zdania. Po prostu ścisnął mi gardło. Takie chwytły zemściły się na mnie. Po odpowiedzi p.

¹⁾ „Herwinów - Piątków, Lisów-Kulów, Wyrwów - Furgalskich“, o których wspominałem w recenzji.

²⁾ Podkreślenia moje.

³⁾ W tej formie jest to w najlepszym razie ogólnik nie piętnujący chyba nikogo zdrada

Kadena wyglądam tak, że budzę litość. Jestem skopany i posiniaczony. Ale głowę dźwigam prosto, bo nakonkretny zarzut żaden chwyt nie pomoże.

Gdyby p. Kaden w odpowiedzi swojej udowodnił mi, że Rasiński hołduje tej zasadzie, iż najwyższą nagrodę za czyn dokonany jest moralne zadowolenie z jego spełnienia — lub gdyby mi udowodnił, że ta zasada nie jest pierwiastkiem „morale” Piłsudczyków, których tak pięknie opisywał, wówczas przeprosiłbym autora „Generała Barcza” za niesłuszny zarzut i uroczyście i gorąco.

Ale tak się nie stało.

Autor „Piłsudczyków” zamiast zająć się w swojej odpowiedzi moim zarzutem stanął sobie na kadenoskie szczudła rozbuchanych słów i pognał w świat.

Mamże iść z wichrem w zawody? Szukać wiatru w polu? Na to już jestem za stary, tak stary, że mi się o tem nawet nie marzy.

* * *

„Przyjął się u nas już od dawna zwyczaj, że krytykowany autor nie broni się i nie odpowiada na ataki”. To zdanie pana Kadena zawiera prawdę i po jego stronie jest racja, gdy mówię, że „Jest w tem dużo słuszności i wiele dumy”.

Powieściopisarz — jest to moje głębokie przekonanie — odpowiadając krytykowi sprawia mu zaszczyt. To jednak nie zwalnia autora nigdy od lojalności wobec swego krytyka. Autor „Generała Barcza” okazał się w swej odpowiedzi wobec mnie nielojalnym i przykro mi, że w ten właśnie sposób wyraża się jego autorska słuszność, jego duma.

Jeszcze jedna mała próbka, ale jaskrawa — wystarczy.

Bez najmniejszego wahania odstąpiłem w recenzji „Generała Barcza” wzór Rasińskiego. W swojej odpowiedzi, która wogóle nie jest odpowiedzią, gdyż na nic nie odpowiada, autor „Generała Barcza” wygarnia pod moim adresem:

„A że ty K. L.-Krz., o ile chodziło o mnie nie mogłeś zrozumieć, że się musiał traktować ostrzejszą miarą, niż innych mierzyłem... Żeś nie pojął, iż z innych modele biorąc i pozy, że dla siebie pozę musiał wybrać najniekorzystniejszą, najmniej wdzięczną, — to już daruj... Pozostanie dla ciebie zagadką na zawsze, o ile dotychczas nie rozumiesz że to sprawa smaku, dobrego wychowania, tonu. One to przecie, — wychowanie, ton, — jak tobie na czele kompanji iść, gdy do ognia idziesz — mnie każą pierwszemu stawać w ognisku zwiérciadła, gdy innych na łukach tylko, lub zaledwie w promieniach rozmieściłem”.

Mniejsza z tem, że tekst „Generała Barcza” świadczy o czemś zgoła innem, gdyż Rasiński ze wszystkich postaci inęskich jest w tej powieści przed-

stawiony najkorzystniej i w sposób najbardziej wdzięczny... Mniejsza z tem... „Ale jeżeli“ napisałem to, o co p. Kadenowi chodziło?

„Bez najmniejszego wahania odstąwiam „wzór“ Rasińskiego, bo do tego mnie autor upoważnia brakiem oszlifowania. Jest w tem dużo poświęcenia.

Tego mi nie zamilczeć nie wolno. Jest w tem jakaś pokuta za te inne wzory, często gęsto szlifowane. „Was używam, jako tragarzy swej idei — powiada Kaden—was: Barczów, Krywultów, i t. d., ale i siebie nie oszczędzam“. Tak, to prawda“. Tak napisałem, a więc napisałem, że i dla siebie wybrał autor „Generała Barcza“ pozę, że i siebie nie oszczędzał.

Nie mogłem napisać, że to poza najniekorzystniejsza, bo do tego mnie nie upoważnia tekst powieści, ten tekst, który wyłącznie był przedmiotem mego badania.

Więc dlaczegoż p. Kaden jest wobec mnie nielojalny? Czy dlatego tylko że mi się nie napisało:

„Jak mnie *mój* dobry ton, *moje* wychowanie, *mój* smak każą na czele kompanji iść, gdy w ogień idę — tak Kadenowi —Bandrowskiemu kazały one pierwszemu stawać w ognisku zwierciadła, gdy innych na łukach tylko, lub zaledwie w promieniach rozmieścić“.

Podobny sposób pisania nie leży, jak to czytelnicy sami napewno stwierdzili, w moim.. tonie. W moich pisaninach niema ognisk, zwierciadeł, łuków, promieni... To na czem tak zależy p. Kadenowi napisałem po swojemu, bez promieni, ale z brzydkim i obcym „tragarzem“. Ale to, że nie jestem wytwornym stylistą, że słów nie dobieram, zdań pięknych nie układam, lecz piszę jak gadam — nie daje jeszcze prawa p. Kadenowi do lekceważenia od *a* do *Z* wszystkiego co napisałem, gdy raczy mi odpowiadać.

P. Kaden-Bandrowski okazał się nielojalnym wobec mnie, bo nie chcąc mi odpowiedzieć na zarzut, który mu postawiłem, lekceważąc sobie do najwyższego stopnia treść mej recenzji (podczas gdy ja treść jego powieści szanowałem) *skorzystał* jednak z niej, aby wygłosić swoje exposé *moim* kosztem, aby w swej odpowiedzi nie tylko podać garść cennych szczegółów autobiograficznych i oświadczać, że dąży „za zbytkiem coraz wspanialszej wolności“, lecz wmawiać we mnie — tak: *wmawiać*—rzeczy, których nigdzie nie napisałem i których nikomu nie mówiłem.

Zdaje sobie dokładnie sprawę z różnicy, jaka zachodzi pomiędzy znanym i utalentowanym powieściopisarzem, p. Kadenem-Bandrowskim, a mną, krytykiem—amatorem, pisującym o książkach w chwilach wolnych od zawodu nie mającego níc wspólnego z literaturą, ale nawet zdając sobie z tego sprawę nie mogę pozwolić na to, abym się stał mównicą autora „Generała Barcza“.

ŻYWOT ŁAZIKA Z TORMESU. Tłomaczył z hiszpańskiego, wstępem i przypiskami opatrzył *Maurycy Mann*. Książki Ignisa Tom VI.

(*K. L.-Krz.*). Krytyk rosyjski Storożenko powiedział o Don Kichocie, że to Amadis, który zasnął takim snem, że przespał upadek feudalizmu, nowy ustrój państw, czas odrodzenia sztuki i nauki... A kiedy się obudził nie spostegł tego, że wieki przygód rycerskich minęły bezpowrotnie, a z niemi złe i dobre wróżki, czarnoksiężnik i błędny rycerz, broniący praw maluczkich i uciskanych... Za swe porywy rycerskie zbierał Don Kichot drwiny i razy, a łatwiej mu było o unieszczeńliwienie bliźniego niż o jego obronę.

Swoim rycerzem, walczącym z wiatrakami dokonał Cervantes tego, co, jak sam wyznał, było jego celem: wytrącił ludziom z ręki powieści rycerskie, pełne nadzwyczajnych przygód, zatrul wśród swoich rodaków zamięłowanie do książek, które psuły smak, rozplomieniały chorobliwie wyobraźnię, szerzyły fałszywe pojęcia o honorze, o miłości, o kobiecie. Dokonał więc Cervantes tego, czego nie mógł zrobić ani Karol V, który w r. 1553 zabronił sprzedaży literatury rycerskiej w posiadłościach zamorskich Hiszpanji, ani kortezi domagający się w dwa lata później rozszerzenia zakazu królewskiego na Hiszpanję właściwą. Według twórcy „Child Harolda“, satyra Cervantesa zgasła w Hiszpanji ducha rycerskiego. Śmiech zjadliwy twórcy *Don Kichota* pchnąć miał biedny kraj na drogę postępu, lecz, niestety pozbawił go bohaterów. Zwycięstwo Cervantesa drogo kosztowało jego ojczyznę. Życie jej wykołbał drwiną. Prawda, że z porywów szlachetnych Don Kichota zdawał sobie Byron sprawę — niemniej jednak sąd jego o Hiszpanji do Cervantesa jest nieco... narwany. Bezprzecnie w duszy hiszpańskiej płynie zapal bonaterski i tego Cervantes nie zdusił, o czym najlepiej chyba świadczą dzieje wojen. Ale — wskazywano na to oddawna i niejednokrotnie — w duszy hiszpańskiej tkwi obok zapalu bohaterskiego także ogień mistyczny, a to, wraz z jej zdolnością silnego odczuwania realimu życiowego, nawet poziomego, daje mieszaninę niezmiernie oryginalną.

Literatura niejednokrotnie zrodziła okresy reakcji. I romantyzm i realizm artystyczny był reakcją. Jej też wyrazem, ujmując rzeczy ze stanowiska wyłącznie historycznego, i to wyrazem pełnym, znakomitym i tak wyjątkowo skutecznym był *Don Kichot* czy *Don Quixote*. *Don Kiszot* (wolno już chyba i tak pisać) Cervantesa był uprzednio przygotowany przez gatunek powieści, zwany *picaresque*. Tak zaś nazywa się powieść, której bohaterem jest... *picaro*. Trudno tego *picaro* po ludzku przetłumaczyć, a zniechęca mnie zupełnie Tieck, który dawno powiedział: Dieser Ausdruck (Picaro) den keine andere Sprache übersetzen kann, bedeutet im Spanischen vielerlei”.

Novela picaresca, roman picaresque, Schelmenroman „czyli — jak mówi prof. Mann — powieść filucka“, „Filucka“? Że *picaro* jest filutem to nie ulega wątpliwości, ale oprócz tego jest on: włóczęgą (właśnie „łazikiem“), głodomorem, żebrakiem, sympatycznym gałganem, sprytnym złodziejaszkiem, doskonałym „ka-

walarzem“, łobuziakiem, łotrzykiem, a często łotrem, szelmą z pod ciemnej gwiazdy, płaszkiem niebieskim i *grandziarzem*.

Możnaby mu jeszcze coś dodać, ale ująć trudno i nie wolno mu nawet ujmować, nadewszystko nie wolno ujmować przebiegłości i tego sprytu, który z niego robi sympatycznego „cwaniaka“, takiego co to po łbie nieraz oberwie i słusznie, ale gdyby go powieszono to wszyscy mówilibyśmy: „Dobrze się stało, ale szkoda chłopca“...

Mam nadzieję, że teraz już mniej więcej wiemy, co to jest *picaro*. Daleko mu do Don Kichota. Dzięki temu jednak, że i on miał zawsze swoje przejścia i przygody i do tego nawskroś realne, z życiem związane, mógł — i to bardzo — zająć sobą ludzi czytających i podważyć wpływ Amadisa i rosnących jak grzyby po deszczu Amadisów różnego rodzaju i różnej narodowości. *Picaro* to nie tylko filut, lecz i bohater, bohater podwójny: w powieści i w historii powieści. Aby lada oberwus, lada obieżyświat stał się jako *picaro* bohaterem na to potrzeba było odpowiednich warunków w Hiszpanji XVII-go wieku. Warunki te wytworzył kryzys gospodarczy, na który, jak powiada prof. Mann, „złożyło się kilka powodów“.

Bezsprzecznie „kilka powodów“ złożyło się na to, że dobrze pamiętający owe czasy mąż stanu (Pedro Fernando Navarrete) miał prawo opisywać je tak: „Przebiegnijcie pola ongiś żyzne, a ujrzyście, że są zachwaszczone pokrzywami i głogiem ponieważ nikt roli nie uprawia. Przeważna część ludności Hiszpanji nic teraz nie robi. Jedni nie pracują z racji swego szlacheństwa, a inni ponieważ wolą żebrać“... W takich warunkach żebrak musiał być z powodu lat głodu złodziejem.

Łazik z Tormesu musiał kraść i szukać sobie pana, a gdy go znalazł to okazało się, że to dumny szlachcic, który z konieczności uważał, że „na długie życie niema na świecie lepszego środka, jak mało jadać“. Stuga-że brak karmił swego pana — biedaka, a rozumował przy tem tak:

„Chciałbym, żeby on (szlachcic, pan Łazika) wyrzekł się pychy i żeby jego duma zniżyła się choć nieco do poziomu, któryby odpowiadał jego ubóstwu. Lecz widocznie u ludzi podobnego rodzaju istnieje zwyczaj, surowo przestrzegany i zachowywany, aby dumnie trzymać głowę, nawet gdyby w kieszeni grosza nie było. Wylecz ich z tego, Panie Boże, bo inaczej zginą na tę chorobę.“

Ten dumny szlachcic nie mający, ani jednego powodu do dumy, tak pysznie kroczący z końcem płaszcza zawieszonym na ramieniu, z ręką wspartą na boku to *typ i motyw* w literaturze. Bo też nie było kto napisał *Żywot Łazika z Tormesu*, skoro stworzył tą nikłych rozmiarów powiastką cały gatunek powieści „filuckiej“. Nie było kto, ale... niewiedomo kto. Do tego, co o literackim ojcu Łazika powiedział prof. Mann należy dodać, że nie tylko Diego Hurtado de Mendoza (statysta Karola V, historyk 1575) uchodził przez długi czas za autora *Łazika*. Również słusznie uważano, że *Łazik* to grzech mnicha Juana de Ortega. Tak! grzech, bo nie godziło się mnichowi księży

w złym świetle wystawiać (i dzięki temu właśnie św. Inkwizycja kiereszowała tę ogromnie popularną, liczącą wiele wydań książeczkę).

Istnieje jeszcze jedno przypuszczenie (nie gorsze od poprzednich), że *Łazik* wogóle nie miał autora, lecz jest utworem zbiorowym, który powstał w otoczeniu braci Juana i Alonsa Valdes, złożonem z literatów i polityków. Co więcej; nie tylko autor nie jest znany, ale i rok wydania *Łazika* z całą pewnością nie jest ustalony. Wydania z r. 1554 są przedrukami. Łatwo sobie wyobrazić ilu krytyków naukowych martwiło się z tego powodu.

A cóż dopiero dzieć się musiało, gdy chodziło o *La vida de L. de T. y sus fortunas y adversidades!* Książeczka ta świetnie przyjęta w swej ojczyźnie, przebiegła Francję, Holandję, Anglję, Niemcy. Miała nie jedną, jak wsromina prof. Mann, lecz dwie kontynuacje (co pięknie świadczy o *Łaziku*) i jedno naśladowanie (*Lazarillo del Manzanares*, który dowodzi powodzenia tego z Tormesu). *Lazarillo de Tormes* jest „prawzorem“ powieści „filuckiej“. „Od niego — słowa prof. Manna — bowiem przyjęto zarówno temat, jak stronę techniczną“. I na tem polega wielkie znaczenie historyczno — literackie tej małej powiastki, za którą poszły powieści choć „filuckie“, lecz realistyczne, odzwierciadlające życie i obyczaje hiszpańskie z czasów Karola V i Filipa II (i za to bardzo je sobie cenił Brunetière). Gdyby nie te z kolei powieści nie byłoby np. *Gil Blasa* Le Sage'a, nie byłoby...

Łapię się za rękę! Wpadam w „naukowość“ i gotówbym np. napisać, że aczkolwiek *Łazik z Tormesu* ma wielkie, wielkie znaczenie historyczno-literackie to jednak nie przyszedłby na świat, gdyby nie *la Fars du garcon et de l'aveugle* grana w r. 1277 w Tournai...

* * *

Pierwszy przekład francuski bezimiennej powiastki hiszpańskiej ukazał się we Francji w r. 1561, a do r. 1660 miała Francja coś z dziewięć jego wydań. Przekład polski ukazuje się po raz pierwszy w roku 1923, czyli, doganiamy Europę w myśl mądrych zasad życiowych: „co nagle — to po djabie“ i „lepiej późno, niż nigdy“, a że lepiej — to święta prawda! Wydany jest *Łazik* ładnie i porządnie, bo z dobrym i lekko napisanym wstępem prof. Manna. Przekład musi być znakomity, bo tłumacz jest profesorem romanistyki.

Niechże czytelnik pozna *Łazika*, któremu na imię było Łazarz. A kiedy się *Łazik* nagle urwie proszę się nie dziwić. *Picaro* zawsze opowiada sam o sobie, głosi swą autobiografię i urywa kiedy mu się podoba. *Łazika z Tormesu* prawdopodobnie obita własna żona, gdy jej wbrew swemu zwyczajowi począł robić wyrzuty, że księdzu prałatowi gotowała obiady i słała łóżka. Pobity *Łazik* umarł. Piszący niniejsze słowa nawet w *Kurjerze Warszawskim* nie przeczytał, by jakiś nieboszczyk napisał autobiografię po śmierci. Nie napisał jej i ten z Tormesu.

Że autor *Łazika* nie ułożył jakiegoś epilogu o to możnaby mieć do niego pretensję, ale co nam po pretensji, gdy jej niema, jak wiemy, do kogo zgłaszać.

KSIAŻKI I PISMA NADEŚLANE

Józef Piłsudski *Wspomnienia o Gabrjelu Narutowiczu*, Tow. wyd. „Ignis“, Warszawa 1923 r.

Dr. Władysław Spasowski: *Zasady samokształcenia*, Warszawa 1923. Wyd. M. Arzta.

Stanisław Szpotański: *Adam Mickiewicz i jego epoka*, tom I-III. Warszawa 1923, nakład Tow. Wyd. (Mortkowicz).

Dr. Wacław Lednicki *Alfred de Vigny*, z Historji Pesymizmu Religijnego. Warszawa. 1923. Polskie Towarzystwo Wydawnicze „Zjednoczenie“.

Władysław Syrokomla (Ludwik Kondratowicz). *Wybór Poezji*. Tom. I—III. Do druku przygotował, przypisami, i posłowiem zaopatrzył **Stanisław Cywiński**. Wilno, 1923 r. Wydawnictwo Księgarni Nauczycielstwa Polskiego.

Stefan Żeromski: *Turoń*, dramat w 3-ch aktach, Warszawa 1923, Tow. Wyd. (Mortkowicz).

Stefan Żeromski: *Pomyłki*, Warszawa 1923, Tow. Wyd. (Mortkowicz).

Janusz Korczak: *Król Maciuś Pierwszy*, powieść, Warszawa 1923, Tow. Wyd. (Mortkowicz).

Janusz Korczak: *Król Maciuś na bezludnej wyspie*, powieść, Warszawa 1923, Tow. Wyd. (Mortkowicz).

Joseph Conrad: *Murzyn z pokładu Narcyza*, powieść, Warszawa, 1923, Tow. Wyd. „Ignis“.

Kazimierz Leczycki: *Brat z tamtej strony*, nowela nowego nacjonalizmu, Wilno 1923, Skł. Gł. Księg. Stow. Naucz. w Wilnie oraz Arct w Warszawie.

Stanisław Wietrzyński: *Co widzę w kapłanach*, Warszawa, 1923.

Jack London, *Martin Eden*, powieść w 2 tomach Tow. Wyd. „Ignis“ Warszawa 1923 r.

Jerzy Mieczysław Rytard, *Wniebowstąpienie*. powieść Tow. Wyd. „Ignis“ 1923 r.

Antologja poezji murzyńskiej, 1923, wyd. „Czartak“.

„Oświata pozaszkolna“ zeszyt 1, 2, 3.

„Przegląd Warszawski“ Nr. 20.

„Skamander“ — czerwiec.

Ruch pedagogiczny, Kraków, kwiecień — czerwiec.

Przegląd przemysłowo-handlowy, Warszawa, czerwiec.

„*Nowe Drogi*“ Nr. 24, 25, 26, 27.

„*Inwalida*“, Nr. 4, 5.

„*Rozwaga*“, Nr. 12 - 13.

„*Wyzwolenie*“ Nr. 25, 26, 27, 28.

„*Samorząd*“ Nr. 13, 14, 15, 16.

„*Głos*“ Nr. 24, 25, 26, 27.

„*Strzelec*“ Nr.

„*L'Europa Orientale*“, rivista mensile, Anno III. febbraio, marzo 1923

„*Polska współczesna*“, kwartalnik poświęcony wykształceniu obywatelskiemu, Rocz. II zeszyt. 1 - 2 Kraków 1923 r.

„GŁOS OPOZYCJI“

TYGODNIK POLITYCZNY

pod redakcją W. STPICZYŃSKIEGO

ZAWIERA:

PRZEGŁĄD I CIĘTĄ KRYTYKĘ
WYPADKÓW POLITYCZNYCH
— KAŻDEGO TYGODNIA. —

Redakcja i Administracja Szpitalna 1.

TELEFON 295-67.

OD WYDAWNICTWA.

Wzrost kosztów zmusza nas do podniesienia prenumeraty za kwartał III, do 50.000 Mk. Prenumeratorzy, którzy przedpłatę już wnieśli zechcą dopłacić 25.000.

Zaliczka na prenumeratę za kwartał IV. — 50.000 Mk.

Administracja prosi o PUNKTUALNE wnoszenie przedpłaty, ponieważ zwłoka rujnuje wydawnictwo.

Prenumeratorzy, którzy nie uiścili opłaty za kwartał II. następnego zeszytu już NIE OTRZYMAJĄ.

W administracji naszej prenumeratorzy „Drogi“ dostać mogą książkę JÓZEFA PIŁSUDSKIEGO: WSPOMNIENIA O GABRYELU NARUTOWICZU po cenie hurtowej t. j. po 43.200 Mk. zamiast 51.800 ceny księgarskiej.

Pismo wychodzi 1-go każdego miesiąca.

ADRES REDAKCJI i ADMINISTRACJI, Szpitalna 12 m. 29, Telef. 175-34

KONTO POCZTOWE 518.

Godziny urzędowe Administracji: od 10 — 3-ciej.

„ „ Redakcji: *poniedziałki, środy i piątki* od 12 — 1-ej

ZALICZKA NA PRENUMERATĘ *kwartalną* 50.000 mk,

W razie zmiany warunków wydawniczych administracja zwróci się o wyrównanie.

CENA NUMERU 20000 mk.

Wydawca: Jan Dąbkowicz

Redaktor: Adam Skwarczyński

„Drukarnia Krajowa“ (W. Krawczyński i E. Egert), Warszawa, Żelazna 89.

CZYTAJCIE!

PRENUMERUJCIE!

ROZPOWSZECHNIJCIE!

ORGAN STOWARZYSZENIA „ZWIĄZEK STRZELECKI“

„STRZELEC”

**CZASOPISMO POŚWIĘCONE IDEI WYCHOWANIA
I WYSZKOLENIA ŻOŁNIERZA-OBYWATELA.**

Prenumerata kwartalna mk. 6000, numer pojedynczy mk. 1000

REDAKCJA I ADMINISTRACJA:

WARSZAWA, AL. JEROZOLIMSKIE 27 m. 3.

„DROGA”

MIESIĘCZNIK POŚWIECONY SPRAWIE ŻYCIA POLSKIEGO

Chce być organem pracy umysłowej dla budowania

NOWEJ POLSKI:

rozważania zagadnień państwowych, narodowych i społecznych.

Zamieszcza **artykuły** z dziedziny ideologii narodowej, polityki, życia społecznego, zagadnień gospodarczych, oświatowo-kulturalnych, literackich, artystycznych—tak Polski jak i zagranicy.

Prowadzi stale **przeglądy** życia politycznego i parlamentarnego, spraw zagranicznych, życia ekonomicznego, pracy organizacyj społecznych, teatru, muzyki, plastyki, wychowania fizycznego, ruchu wydawniczego i t. d.

Redagowanie poszczególnych działów, względnie

stałe współpracownictwo przyrzekli:

Stefan Boguszewski	Kazimierz Kosinski	Bronisław Siwik
Piotr Borkowski	Stanisław Krawczyk	Adam Skwarczyński
Wacław Fabierkiewicz	Karól L. Krzewski	Stefan Śledziński
J. Grabiec	Stanisława Kuszelewska	Artur Sliwiński
Stanisław Guliński	Antoni Langer	Lesław J. Słoboda
Marceli Handelsman	Wacław Lipiński	Michał Sokolnicki
Tadeusz Hołówko	Adam Lisiewicz	Stanisław Stempowski
Wilam Hórzyca	Anna Minkowska	Andrzej Strug
Piotr Hulka-Laskowski	Anatol Minkowski	Tadeusz Świecicki
Juljan Huzarski	Miecz. Niedziałkowski	Kazimierz Świtalski
Wacław Janaszewski	Bronisława Ostrowska	Stanisław Szeller
Janusz Jędrzejewicz	Romuald Petrykowski	Wacław Szmit
Marja Jędrzejewiczowa	Bronisław Pieracki	Stanisław Thugutt
Jul. Kaden-Bandrowski	Hanna Pohoska	Marjan Uzdowski
Kazimierz Kierzkowski	Jan Pohoski	Stanisław Vincenz
Emil Kipa	Juljan Poniatowski	Leon Wasilewski
Marjan Klott	Stanisław Posner	Aleksander Wielhorski
Adam Koc	Tadeusz Różycki	Edward Wittig
Henryk Kołodziejski	Stanisław Siedlecki	Wład. Zawistowski
	Wacław Sieroszewski	

Adres Redakcji i Administracji: **Warszawa, Szpitalna 12, m. 29.**

„Drukarnia Krajowa” (W. Krawczyński i B. Egert), Warszawa, Żelazna 89, tel. 188-70.